

FORUM 82

MYŚLI WOLNEJ

Krakowski magazyn racjonalistów



STEFAN BERDAK "Kto go tam wie" akryl

W numerze m.in.:

- Tadeusz Żeleński-Boy, *Poeta a pieniądz*
- Kazimierz Pasenkiewicz, *Litwa 2. Malinówka. Pierwsza miłość*
- Alicja Górowska, *Zniesienie celibatu – rewolucja czy normalizacja?*
- Mieczysław Jakubiec, *W oczekiwaniu na normalizację*
- Andrzej Kurz, *Kilka tez dotyczących historii Polski Ludowej*

Stanisław Franczak
1946–2019

**1 OD REDAKCJI**

- 2 Stanisław Franczak, *w malignie, opowieść macieja o budowaniu*

TEMATY SPRZED LAT

- 3 Piotr Augustynek, *Poeta a pieniąż*

MYŚLĄC BELFREM

- 7 Piotr Augustynek, *Ciemno wszędzie, głucho wszędzie*

ETYKA DLA MŁODZIEŻY

- 9 Piotr Szydłowski, *Źródła moralności i religii w filozofii Henri Bergsona (1859-1941)*

RELIGIOZNAWSTWO

- 14 Jan Czajkowski, *Walka Jana Wiklefa o ewangeliczne ubóstwo*
20 Alicja Górowska, *Zniesienie celibatu – rewolucja czy normalizacja?*

W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

- 27 Kazimierz Pasenkiewicz, *Litwa 2. Malinówka. Pierwsza miłość.*
35 Andrzej Kurz, *Kilka tez dotyczących historii Polski Ludowej – profesorowi Jerzemu Kornasiowi na Jego 70-lecie*

FELIETONY

- 43 Mieczysław Jakubiec, *W oczekiwaniu na normalizację*

WSPOMNIENIE LITERACKIE

- 46 Stanisław Franczak, *Prawdziwa opowieść głupiego Jędrzeja*

LITERATURA

- 49 Jędrzej Szlachetka, *Zostań jeszcze trochę*

KRONIKA

- 56 Kronika
57 Boyowi na chwałę

REFLEKSJE, KOMENTARZE

- 60 Refleksja na czasie

62 Z PORTALI INTERNETOWYCH

doc. dr Andrzej Kurz
– przewodniczący,
prof. dr hab. Czesław Banach
– wiceprzewodniczący,
dr Józef Kabaj
– wiceprzewodniczący.

Członkowie:

prof. dr hab. Adam Chmielewski,
prof. dr hab. Michał Chorośnicki,
prof. dr hab. Ignacy S. Fiut,
prof. dr hab. Marian Grzybowski,
prof. dr hab. Jerzy Kochan,
prof. dr hab. Jerzy Kolarzowski,
dr hab. Zbigniew Krawczyk,
prof. dr hab. Józef Lipiec,
mgr Mieczysław Noworyta,
prof. dr hab. Jerzy Ochman,
prof. dr hab. Jan Szmyd,
prof. dr hab. Piotr Szydłowski,
prof. dr hab. Jan Woleński,
prof. dr hab. Krzysztof Woźniakowski.

ADRES REDAKCJI:

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
tel. 12 423-50-16; 501 567 547
e-mail: j.kabaj@wp.pl
sekretarz redakcji: tel. 501 286 053

Wydawca:

Rada Wojewódzka
Towarzystwa Kultury Świeckiej,
30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
www.forummysliwolnej.pl
Dom Fundacyjny im. Lidii i Leona
Świeżawskich

Skład, łamanie i druk:

Agencja Reklamowa Novum
31-158 Kraków, ul. Krowoderska 66/8
www.novum.krakow.pl



OD REDAKCJI

Stanisław Franczak 1946–2019

Tym razem na tej stronie nie będzie charakterystycznego profilu Redaktora Naczelnego. Tym razem i już nigdy więcej.

Dwunastego lipca Staszek zakończył swą podróż przez życie. Podróż jakże trudną, momentami tragiczną, ale przecież nietuzinkową, barwną.

Patrzył na otaczający Go świat oczami dziecka, a także spojrzeniem humanisty, pisarza i poety. Jak każdy z nas miał chwile gorzkiego zwątpienia, ale i zwykłej ludzkiej satysfakcji i radości.

Każde odejście jest zbyt szybkie, nie w porę, bo przecież tyle było jeszcze do zrobienia...

Trudno się pisze takie pożegnania. Czas okrutnie po raz kolejny przypominał o przemijaniu. Horacjańskie *Non omnis moriar* to tylko skromna próba pocieszenia.

Żegnaj Redaktorze!

Zespół Redakcyjny



STANISŁAW FRAN CZAK

w malignie

słońce ciągnie wóz
na nim kiwa się woźnica
który strzela z bata
spadają gwiazdy z nieba i
przeżalone ptaki jak ulęgalki
z wysokiej gruszy

pies nic nie mówi tylko
pędzi drogą mleczną
wprost przed siebie
kłóć się koła furmanki

stukają słoneczne kopyta
ubitą drogą do księżycy
pędzi wóz z szaleńcem
na wieczne zatracenie

na amen

opowieść macieja o budowaniu

najpierw fundament
poświęcony i okadzony przez
babkę maryskę potem
przyciesie z drzewa coby
winkle były jak trza a
okna i drzwi nieduże ale
z okiennicami jak się patrzy
naroście więźba i kalenica
jeszcze nalepa w kuchni
i przypiecek dla dziadka zaś na
środku dachu komin albo dwa
i klepisko z gliny i foszty na
dwa cale potem zaś ino
pogródka równo ze strzechą

na końcu święty próg śmierci
w izbie z której idzie się do nieba

panie boze pomóż

Kolejny tekst Boya został opatrzony tytułem POETA A PIENIĄDZ. Toż to czysta sprzeczność. W świadomości społecznej (o ile społeczeństwo ma w ogóle jakikolwiek stosunek do literatury) literat, poeta był zawsze chudy, zabiedzony. Gnębiony gruźlicą, brakiem gotówki i brakiem zrozumienia u współczesnych. Nieliczne wyjątki osób mogących utrzymać się z pisania, a nawet żyć na przyzwoitym poziomie potwierdzają ten stereotypowy obraz literata.

Tak było przez stulecia. W pewnym sensie tak jest i teraz. Z powyższego schematu wyłamują się, rzecz jasna nobliści i laureaci wielu ważnych konkursów, rankingów niosących ze sobą lukratywne nagrody, kontakty, zlecenia scenariuszy seriali itp. Mamy też wcale niemałą grupę autorów piszących teksty, które absolutnie nie spełniają kryteriów wartościowej literatury. Wystarczy się przyjrzeć tekstom piosenek disco polo, nakładom koszmarnych romansideł, dialogom kultowych seriali, wystarczy pooglądać reklamy – byle nie za dużo, bo skutki mogą być nieodwracalne.

Zjawisko nagromadzenia tandety w literaturze i innych dziedzinach sztuki nie jest niczym nowym. Powody tegoż zjawiska są liczne, a naczelnym jest po prostu pieniądź. Wystarczy, że powstanie popyt na tandetę literacką, a znajdzie się cała kategoria „inwestorów” gotowych wyłożyć spore pieniądze na „produkcję” by odebrać je z sowitym zyskiem. Wszak nie ładne to, co ładne, ale ładne to, co się komu podoba.

Zjawisko chwilowej i najczęściej bezpowrotnie przemijającej sławy poetów, pisarzy, autorów tekstów stało się polem rozważań Boya.

Pojawia się pytanie: czy państwo powinno czy nie powinno zapewnić minimalnej renty twórczej artystom? Czy nie dałoby się wymyślić formuły zabezpieczenia na starość ludzi pióra, z których nieliczni tylko charakteryzują się zaradnością, życiowym cwaniactwem czy drapieżną dbałością o własne interesy? Pewnie to rzecz bardzo trudna, bo jakże określić kto artysta, a kto zaledwie bezczelny grafoman? A do tego jeżeli dodać pytania: „kto nasz, a kto nie nasz” – rzecz komplikuje się do granic absurdu.

A przecież każdy z twórców, choćby z najskromniejszym dorobkiem dodaje swoją część do ogólnonarodowego skarbcza kultury...

Chociaż to problem wciąż istotny, jestem w stanie wyobrazić sobie, że sam się rozwiąże. Otóż po prostu – społeczeństwo przestanie czytać. I już.

Wybór, opracowanie i wstęp: Piotr Augustynek

POETA A PIENIĄDZ

Zdaje mi się, że my nie bardzo lubimy myśleć, nie lubimy zwłaszcza prze-myślać rzeczy do końca. Upraszcza-my rzeczy skomplikowane. Frazes cze-pia się wszystkiego, załatwia wszystko.

I dlatego często, nawet gdy sprawa jest słuszna, argumenty trafiają jak kulą w płot.

Umarł niedawno Stanisław Przy-byszewski. Umarł w biedzie, jeżeli nie

w nędzy. To nieładnie, oczywiście. Nawymyślano też z tego powodu narodowi, nahańbowano. Hańba państwu, hańba ojczyźnie, hańba społeczeństwu.

Równocześnie to samo pismo, na którego łamach rozbrzmiewają owe „hańby”, zamieszcza szereg fotografii. Fragment mieszkania Przybyszewskiego w pałacu Pod Blachą. Sypialnia Przybyszewskiego w pałacu Pod Blachą. Gabinet, jadalnia... razem pięć pokoiów, miłych, z staroświecką urządzonych, wysłanych pięknymi kilimami, przytulnych. I nie jeden sobie myśli: „Mój Boże, zgodziłbym się na taką nędzę”. Zasłużonemu pisarzowi prócz mieszkania przyznano pensję. Niewiele to było, jakieś pięćset złotych, ale zawsze coś.

Ojczyzna, sądzę, rozumuje tak: „Masz oto, mój zasłużony synu, dach nad głową i minimum egzystencji. Coś tam jeszcze piszesz, coś zarabiasz, jesteś sławny, masz za sobą sporo poczytnych książek, sztuk teatralnych, które powinny coś przynosić, czasem urzędują ci odczyt, jubileusz – no i zwiążesz koniec z końcem.”

Przybyszewski końca z końcem nie wiązał. Należało się o to zatroszczyć, niewątpliwie. Wyjątkowym ludziom należą się wyjątkowe względy.

Ale teraz dla równowagi jedna anegdota. Pewnej nocy w Monachium Przybysz wraca z kawiarni do domu. Naraz słyszy w oddali śpiew, poznaje polski język, swojacką melodię. To robotnik polski szedł ulicą i śpiewał sobie coś z kujawska. Przybyszewski dogania robotnika, wdał się z nim w rozmowę, ścisła go i w rozczuleniu daje mu swój zegarek i wszystkie pieniądze, jakie miał przy duszy, jakieś osiemdziesiąt marek.

Chętnie wierzę w to zdarzenie, bo widziałem w życiu Przybyszewskiego

wiele podobnych. To bardzo pięknie. Ale niech mi kto powie, jak sprawić, aby człowiek z takim usposobieniem nie był w kłopotach? Musiałby chyba minister skarbu chodzić za nim i wkładać mu do kieszeni nowe zegarki i nowe banknoty.

Bo ten satanista miał serce miękkie jak wosk i czułe na biedę ludzką. Stróż czy robotnik mógł zeń wydobyć wszystko – na chorobę żony, na opłatę szkolną dla dziecka. Nie podzielił się, nie oddał kiedy miał, było dla Przybyszewskiego niemożliwością. Pod tym względem miał zawsze ekonomię czysto ewangeliczną: brać od tego, co ma, dawać temu co nie ma, i nie troszczyć się o jutro. To wszystko nie sprzyjało „wiązanu końca z końcem.”

Dodajmy jeszcze – można o tym mówić szczerze, bo i on sam pisał o tym w swoich wspomnieniach po prostu – jego nałóg, alkoholizm. O ile ten nałóg sprzyja miękkości serca, o tyle nie ułatwia gospodarki.

Było nawet coś więcej. Przybyszewski – przynajmniej taki, jakim go znałem za jego najbujniejszych czasów – wręcz nienawidził pieniędzy. Pisał gdzieś, że są „wrogie twórczości.” Tępił je też obrzydzeniem, jak śmiertelnego wroga. Po pijanemu wtykał nieraz banknoty obcemu włóczędze na ulicy, rozdawał, rozrzucał, przehełtał je do ostatniego, i następnego rana znajdował się wobec pytania: skąd brać?

Zapewne w ostatnich latach Przybyszewski, chory, znękany, musiał być inny. Ale i tak nie wierzę w jego talenty gospodarcze. Nie jest więc może państwo tak winne, jak by się zdawało.

A społeczeństwo? Chcę mówić tylko o tym, na co patrzyłem z bliska.

Kiedy Przybyszewski przybył pierwszy raz do kraju, do Krakowa, z Niemiec, gdzie jak sam opowiadał, cierpiał ciężką nędzę, nie miał w kieszeni, można



Stanisław Przybyszewski

rzec, ani grosza. Przyjechał, sprowadził z drugiego końca Europy żonę z dwójgiem dzieci; znalazł mu mieszkanie, miłe cztery pokoje w wybornym punkcie, na parterze, z werandą i z ogródkiem. Jeden entuzjasta mu je umeblował, drugi ofiarował fortepian, malarze pokryli ściany dziełami sztuki. Miał dwie służące. Codziennie paru łazików, stanowiących dwór Przybyszewskiego, żywiło się przy jego stole, codziennie w domu czy w kawiarni trunki płynęły obficie. Lato spędził z rodziną w Zakopanem. Sądzę, że w pierwszym roku pobytu w Krakowie Przybyszewski wydał sumę równającą się co najmniej pensji dyrektora w poważnym banku. Z sumy tej zarobił, nieborak, małą część; nie było sposobu! Kto pokrył resztę? Kraków, ten najbiedniejszy na świecie, przysłowiowo goły Kraków. Rzucając przeto gromy, łatwo trafić gromem w plot. Nie było może przykładu takiej ofiarności „społeczeństwa” wobec artysty, co wobec Przybyszewskiego. Świątce na to zasłużył, bo dawał sto razy więcej, niż brał, ale trzeba rzecz postawić na właściwym miejscu. Gdyby móc uchwycić pozycję najnieuchwytniejszą pod słońcem, „obróć” Przybyszewskiego, okazałoby się, że przy całej jego biedzie przechodziły przez jego ręce znaczne sumy.

A oto jak. Mały przykład wśród mnóstwa. Jednym z pierwszych, który go w Krakowie powitali, był niejaki Zdzisław Gabryelski. Student filozofii niemieckich uniwersytetów, meloman, ekscentryk, trochę bufon, ale i entuzjasta, był on właścicielem pierwszorzędnego składu fortepianów. (Trudno nawiasem mówiąc, wymarzyć bardziej

niesamowitą i fantastyczną ramę dla „orgii” niż ogromne sale, w których szczerzą słoniowe zęby szeregi czarnych fortepianów. Co tam za noce były w tym narożnym pałacu na Rynku w Krzysztoforach!) Ów Gabryelski, mimo że uchodził za skąpego, bywał opatrnością cyganerii w drobnych kłopotach. Od dłuższego czasu toczyły się z nim pertraktacje o znacznie większą kwotę, niezbędną dla uzdrowienia schorzałych finansów „Stacha”. Ale Gabryelski, człowiek dość nieobliczalny, nerwowiec (skończył później samobójstwem), przedzierzgnął się nagle w zimnego handlowca. Tak znaczną sumę powiadał (chodziło coś o sześćset koron), musi zaczerpnąć z kasy swego przedsiębiorstwa; może ją tedy dać jedynie na bardzo pewny weksel. Mimo iż podrażniony, Przybysz zgodził się na ten warunek. Co to był za weksel! Żyrowały go wszystkie łaziki krakowskie, cała cyganeria; było na nim ze dwadzieścia nazwisk. Stach wręczył weksel, zainkasował pieniądze, po czym zaczął się bawić z Gabryelskim jak kot z myszą, rozwijając całą złośliwość bohaterów własnych powieści. Zaczął go komplementować, że on p. Zdzisław Gabryelski ten wielki pan, ten subtelny człowiek, zrobił sobie doskonały żart z owym wekslem; bawi się tym, iż ktoś mógł pomyśleć, że on jest taka świnią, aby od przyjaciela żądać weksla, a teraz ten weksel pańskim gestem podrze etc. W istocie doprowadził do tego, że Gabryelski, smagany szyderstwem, przypiekany ironią, mieniąc się na twarzy, wyjął weksel i podarł. Wtedy Przybysz, rozczulony, uściskał go i zaprosił całą kompanię do Turliniego. Kazał dać ze dwadzieścia flaszek szampana, zapłacił z góry (oczywiście z tych krwawo zdobytych pieniędzy), kazał wszystkie otworzyć, zerkając na bladego ze złości Gabryelskiego i bawiąc się sadyściecznie jego męką.

Zaledwie kompania umoczyła usta w szampanie, Przybysz dał znak do „zmiany lokalu”, zostawiając pełne flaszki. Umyślnie; była to wyrafinowana zemsta za ów weksel. I wszyscy wyszli „do innego Żyda”, gdzie oczywiście dokonana się egzekucja na pozostałym kapitale. Tego już biedny Gabryelski nie mógł przenieść; skinął na najgorliwszego moczymordę i zostali we dwóch, wysuszając otwarte butelki do rana, iżby się całkiem nie zmarnowały. Rano znaleziono ich leżących, jak trupy, na podłodze obok kilku jeszcze pełnych flaszek. A Przybysz opowiadając o tym zanosił się od śmiechu.



Paul Verlaine

Takimi epizodami naszpikowane było jego codzienne życie w owej bohater-skiej epoce. Świat, życie było dla niego to wściekłym scherzem, to patetyczną symfonią, ale nigdy nie rzeczywistością. Jeżeli

Przybyszewski nie rozwiązał problemu, jak „żyć z pióra”, to przede wszystkim dlatego, że nigdy go sobie naprawdę nie stawiał. Przez cały np. ów okres krakowski budżet jego oparty był na tzw. „podatku narodowym” (wyrażenie jego własne), który wszyscy bliscy chętnie składali. Kiedy nie stało chwilowo podatku narodowego, Przybysz wychodził na miasto, zupełnie jak myśliwiec na łowy. I zawsze przynosił jakiś banknot, czasem większy, czasem mniejszy, ot – jak z polowania. A niezależnie od tego, przez dwa lata znajdowały się w Krakowie pieniądze na podtrzymywanie deficytowego najzupełniej czasopisma „Życie”. Oczywiście to się musiało wyczerpać. Wówczas Przybysz sprzedał za parę groszy meble i obrazy i przeniósł się do Lwowa, potem do Warszawy...

Dlatego kiedy w jednym z artykułów pamiętkowego numeru Przybyszewskiego czytam te słowa: „Dla niego sztuka nie była pomostem do sławy, bo jej nie znał (?!), nie środkiem zdobycia pieniędzy, bo o to, aby ich nie miał, postarała się wdzięczna ojczyzna...”, mimo woli zadaję sobie pytanie, dlaczego my się musimy się ciągle tak załgiwać? Cemu musi być to ciągle biadkanie i jajczenie? Cemu musimy stosować szablony do rzeczy najmniej szablonowych w świecie?

Jakież będzie najogólniejszy wniosek? Ten, że są natury, organizacje, przy których niezmiernie trudno jest zapobiec, aby artysta nie był w biedzie. O ile mogą być wielcy poeci skrupulatni, gospodarni, o tyle zdarzają się inni, dla których prawa budżetu nie istnieją, dziurawe worki, których nie ma sposobu napęlić. Takich by trzeba chyba brać pod kuratelę; a niech kto spróbuje: to są ludzie zazwyczaj najdrażliwsi, najbardziej arbitralni. Niegdyś poeta żył na dworze jakiegoś księcia, wolny od trosk materialnych. Dziś egzystencja artysty bywa problemem bez wyjścia. Verlaine wyciągał po kilka franków od księgarzy, a przygodne kochanki wyciągały z niego po parę tysięcy. Jak, skąd? Licho to wie. Żył w szpitalu, umarł w nędzy w bogatym Paryżu, otoczony zgrają snobów i wielbicieli.

Jaka więc rada? Byłaby może jest jedna: stworzyć coś w rodzaju dawnego greckiego prytaneum, gdzie zasłużeni ludzie mogliby się żywić na koszt państwa za okazaniem legitymacji. Traktowania w Hotelu Europejskim ze swymi wygodnymi fotelami dość by się na ten cel nadała. □

1928

Ze zbioru opracowanego przez Henryka Markiewicza „Boy o Krakowie”, Wydawnictwo Literackie, Wyd. II, Kraków 1973

PIOTR AUGUSTYNEK

CIEMNO WSZĘDZIE, GŁUCHO WSZĘDZIE

No tak, ten cytat z Wieszcza znają niemal wszyscy, którym dane było uczestniczyć w lekcjach języka polskiego. Czy jednak będzie tak zawsze? Przecież ten cytat to fragment „Dziadów”, ale fragment dotyczący „pogańskich” obrządków odprawianych (o zgrozo!) w cmentarnej kaplicy, o północy w Zaduszki. Tego typu utworu obecna władza, pomna biskupich opinii, z pewnością nie zaakceptuje. Widać to szczególnie w coraz bardziej głupiej, obrzydliwej kampanii wyborczej. Sam Prezes potwierdził w swym wystąpieniu podczas lubelskiej konwencji, że tylko państwo zależne od hierarchii kościelnej i jedynie społeczeństwo wyznające naukę Kościoła ma wartość, godne jest uwagi i szacunku. Szkoda nawet zadać pytanie o resztę obywateli (nie tak znowu znikomą), o instytucje (potrzebne społeczeństwu) niepowiązane z Urzędnikami Pana B. Odpowiedź już znamy.

Patrząc na to, co się teraz dzieje z państwem i obywatelami, można odnieść wrażenie, że oto na naszych oczach mozolnie i konsekwentnie budowany jest system. Ponury, opresyjny, podporządkowany jednej ideologii i niewyżytym kompleksom oderwanego od rzeczywistości starszego pana. System ten ma zapewnić dobrobyt tym, którzy go wesprą. A inni? No, cóż – mają pecha, że są po innej stronie mocy, że stanowią gorszy sort. Budowa tego systemu nie toczy się spontanicznie, byle jak, przypadkowo. Tu improwizacji być nie może. I nie ma. Skoro tak, to trzeba zacząć od podstaw, czyli od kształcenia nowego modelu obywatela. A takiemu kształceniu ma

przecież służyć szkoła. Nie taka, w której ceni się twórczych i kompetentnych (a więc niepokornych) nauczycieli, lecz nowa, mocno wpisana w zaściankowe i klerykalne myślenie obecnych władz Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Należy więc (w myśl wiadomych wytycznych) dokonać reformy systemu edukacji, co obecnie widać. Nie chce mi się po raz kolejny powtarzać krytycznych uwag o tym, jaką krzywdę czyni się Polakom tworząc coś, co hucznie nazwano reformą. Struktura systemu edukacji raz po raz rozszarpywana kolejnymi reformatorskimi pomysłami nigdy nie będzie zdrowa i silna. Nigdy nie będzie stanowić gwarancji solidności, przewidywalności, o poczuciu bezpieczeństwa dla uczniów nie wspominając.

Gdy nauczyciele oszukani i upokorzeni przez władze, po zawieszeniu strajku rozjechali się na smutne wakacje, zacząłem się zastanawiać, co będzie po wakacjach. Wygląda na to, że nic nie będzie. Kilka dni temu, tuż przed 1. września rozmawiałem z moją przezacną koleżanką, która jeszcze kilka lat musi przepracować w szkole, by nabrać uprawnień emerytalnych. Spytałem o to, jakie są nastroje wśród belferskiej braci, co nauczyciele zamierzają zrobić i czy zdecydują się na kolejny etap o polską szkołę. Mimo, że podobnej odpowiedzi oczekiwałem, jednakże byłem zaskoczony jej stanowczością. Moja koleżanka (mądra i uczciwa nauczycielka) powiedziała mniej więcej tak:

„ – Nie będą strajkować. Opluli nas, wyśmiali, zabrali nam nawet tę resztkę

autorytetu, którą jeszcze mieliśmy. Co zyskamy? Może stówkę, może dwie, a przy okazji rząd dorobił nam gębę roszczeniowców, nierobów, wrogów ojczyzny, wrogów narodu, a dzieci w szczególności. Ludzie mają dosyć. Złamali nam kręgosłup...”

Smutne? Smutne, ale prawdziwe. Starsi wiekiem nauczyciele nie mają już siły ani ochoty walczyć. Chcą w miarę bezboleśnie dożyć emerytury stosując metodę mimikry politycznej i służbowej. A potem przed ostatecznym opuszczeniem murów szkolnych wytrą buty o szkolną wycieraczkę. Pozostanie gorycz, chęć jak najszybszego zapomnienia i tyle.

Nauczyciele, którzy mają średni staż pracy nie chcą się angażować. Będą swoją sytuację finansową poprawiać przy pomocy korepetycji (nawet jeśli będą zabronione). Znam kilku nauczycieli w średnim wieku, którzy po prostu rozpoczęli (czy oficjalnie – tego nie wiem) własną, niejednokrotnie niezwiązaną z edukacją, działalność gospodarczą. Przykład? Proszę bardzo:

- układanie podłóg i flizowanie ścian - matematyk i biolog,
- pogotowie remontowe – fizyk i chemik,
- serwis rowerowy – historyk,
- zabiegi rehabilitacyjne w domu pacjenta – małżeństwo wuefistów.

Myszę, że nie trzeba mnożyć przykładów.

A co z młodym pokoleniem belfrów? O to już zadba z pewnością nasza kochana władza. Po prostu do zawodu przyjmie się tylko tych, którzy będą w pełni realizować zasadę „BMW” – i zapewniam, że nie o motoryzację tu chodzi. A więc będą młodzi Bierni, Mierni, ale Wierni. Innych młodych nie będzie. Po prostu wybiorą inną profesję – niekoniecznie w granicach Najjaśniejszej R.P.

Spoglądając w ekran telewizyjny, doświadczam wzmoczonego poczucia paranoi. Otóż gdy patrzę na informacje telewizji rządowej, powinienem radować się z rozmachu

i samych sukcesów szkolnej reformy. Nic, tylko się zachwycać. Spojrzenie na przekaz innych, niezależnych (jeszcze) stacji telewizyjnych sprawia, że włos się jeży na głowie. Widzimy pracę szkół do 19.30, klasy przepełnione do granic wytrzymałości, pomieszczenia gospodarcze przerobione na sale dydaktyczne, ciągłą niepewność dyrektorów szkół, czy wystarczy nauczycieli... Oczywiście, w ośrodkach miejskich pewnie te problemy nie występują z takim nasileniem. Ale już małe miasta i wsie pozostawiono same sobie. Niech się samorządy terytorialne zmagają z problemami – szczególnie gdy w tych samorządach są „nienasi”.

Jeden z dyrektorów szkół w Łodzi zadał pytanie, co ma zrobić uczeń w sytuacji, gdy kończy zajęcia o 19.30, a przecież jeszcze wyczynowo uprawia sport, czy chciałby jeszcze dodatkowo rozwijać swoje uzdolnienia muzyczne, językowe, czy inne. Pytanie dyrektora pozostało bez odpowiedzi, a ja się spodziewam, że biedak podpadł „dobrej zmianie”. Jednakże mam wrażenie, że mój zacny kolega ma już na tyle bezpieczny numer PESEL, że zdoła bezpiecznie odejść na emeryturę.

A co z uczniami? Jedni są zdezorientowani, przestraszeni, a wraz z nimi ich rodzice. Inni mają nadzieję, że wszystko „jakoś się ułoży” i przy pomocy korepetycji uda się „doczołgać” do matury. A jeszcze innym to wszystko... jest obojętne, choć należałoby tu użyć bardziej bezkompromisowego określenia.

A rodzice? No, cóż – są pełnoprawnymi wyborcami, ale obawiam się, że jeżeli się ockną – będzie za późno.

A więc – wesoło nie jest, co najwyżej więcej głupotą.

Jako polonista sparafrazuję tytuł moich rozważań. I to chyba będzie trafna pointa:

CIEMNO WSZĘDZIE, GŁUCHO WSZĘDZIE – GŁUPIO BYŁO, GŁUPIEJ BĘDZIE. □

PIOTR SZYDŁOWSKI

ŹRÓDŁA MORALNOŚCI I RELIGII W FILOZOFII HENRI BERGSONA (1859-1941)

W okresie aktywności filozoficznej H. Bergsona powszechnie panowały poglądy pozytywistyczne, darwinowski ewolucjonizm biologiczny i amerykański pragmatyzm reprezentowany przez Charlesa S. Peirce'a (1839-1914), Williama Jamesa (1842-1910) i Johna Deweya (1859-1952). Z nimi zmierzył się Henri Bergson, od 1914 roku członek francuskiej Akademii Nauk i laureat nagrody Nobla w dziedzinie literatury z roku 1927, jeden z najbardziej znanych filozofów dwudziestego wieku. Powszechna była w owym czasie krytyka metafizyki i bezwzględne zaufanie do nauk przyrodniczych jako najbardziej skutecznych w procesie poznawania i przekształcania świata. Bergson był wówczas takim kontrapunktem do epoki zdominowanej przez wiarę w postęp naukowy i niechęć do „jałowego filozofowania”.

1. Krytyka poznania naukowego i potocznego

Jądem filozofii Bergsona była krytyka intelektu i przyznanie intuicji



Henri Bergson

pierwszeństwa wśród wszystkich innych władz poznawczych człowieka. Mówiąc w największym skrócie, najpierw rozprawił się Bergson z naukowym i potocznym poznawaniem rzeczywistości. Twierdził, że intelekt nie jest zdolny do poznania rzeczywistości, gdyż wypracowana przezeń intelektualna, pojęciowa wiedza nigdy nie odtwarza prawdziwej rzeczywistości, dlatego może być najwyżej jej jakimś symbolem. W ten sposób – zauważają badacze jego filozofii – Bergson stał się przeciwnikiem intelektualizmu, racjonalizmu i secentyzmu. Paradoksalne: swoimi rozważaniami naukowymi dowodził słabości badań naukowych! Kwestionował również poznanie potoczne, odmawiając mu wartościowych osiągnięć poznawczych, posiada bowiem ono naturę podobną poznaniu naukowemu i podobne jemu wady. Dlatego szukał innej metody poznania, niczym nie uwarunkowanej ani nie deformującej poznawanej rzeczywistości. I znalazł. Jest nią intuicja.

2. Natura poznania intuicyjnego

Wśród filozofów od niepamiętnych czasów toczył się spór o skuteczność i wartość poznania rozumowego i zmysłowego. Był to spór racjonalistów z empirystami. Bergson wystąpił przeciw obu tym metodom poznawania, uważał bowiem, że obie te metody mają podobną

naturę i podobne wady. Z a p r o p o n o w a ł p o z n a n i e i n t u i c y j n e. Na czym ono polega, niech nam powie profesor Władysław Tatarkiewicz, nikt bowiem lepiej od niego wyjaśnić Bergsonowskiej intuicji nie potrafi: „Intuicja w takim rozumieniu – jako zdolność bezpośredniego ujmowania rzeczywistości w jej całości i zmienności – jest zdolnością niezwykłą, nie tak rozumiałą jak zdolność postrzegania i myślenia. Bergson usiłował więc wytłumaczyć, jak jest możliwa. Tłumaczył ją mianowicie jako rodzaj instynktu. A instynkt jest naturalnym zjawiskiem biologicznym, objawem przystosowania się organizmu do potrzeb życia. Instynkt i intelekt są przeciwieństwami: instynkt działa nieświadomie, a intelekt świadomie, instynkt czerpie swą siłę z organizmu, intelekt jest od organizmu względnie niezależny. Otóż intuicja jest uświadomionym instynktem. To tłumaczy nie tylko dlaczego ją posiadamy; ale także dlaczego możemy jej zaufać. Jest wytworem organizmu, wytworem przyrody i dlatego może przyrodę poznawać. W tym leży jej wyższość nad intelektem, że ma tę samą naturę, co przedmioty, które poznaje. Wypływa z życia i przez to wnika w życie, podczas gdy sztywny intelekt może co najwyżej wnikać w martwą przyrodę. Intelekt ujmuje rzeczy od zewnątrz, a intuicja przenosi nas do wnętrza rzeczy. On ujmuje rzeczy pośrednio, ona bezpośrednio; on ujmuje tylko stosunki między rzeczami, ona zaś same rzeczy; on schematycznie, ona indywidualnie; on tylko ilościowo, ona jakościowo; on przez symbole językowe, ona wprost; on analizuje rzeczy i rozbija je na części, ona ujmuje je w całości; on nagina rzeczy do swych pojęć, ujmuje rzeczy, jak się tego domagają potrzeby praktyczne, ona zaś niezależnie od nich. Wszystko to wskazuje, że intelekt przekształca rzeczywistość,

tłumaczy ją na swój język, a tylko intuicja ukazuje ją nam w oryginalu. W ten sposób Bergson przeciwstawił te dwie zdolności umysłu.

Zastał w teorii poznania dwa zmagające się ze sobą poglądy: zwykły i Kantowski. Oba zakładały dualistycznie odmienną podmiotu i przedmiotu, umysłu i rzeczy. I aby wytłumaczyć poznanie, jeden przyjmował, że myśl nagina się do rzeczy, drugi zaś, że rzeczy muszą nagiąć się do myśli, jeśli mają być przez nią poznane. Dla Bergsona zaś oba poglądy były błędne, bo oba niesłusznie zakładały dualizm; a robiły to dlatego, że nie liczyły się z intuicją: ona jest tworem organicznym, jej natura jest ta sama, co poznawanych przez nią rzeczy; nie ma dwoistości poznającego i poznawanego, nie ma potrzeby naginania podmiotu do przedmiotu ani przedmiotu do podmiotu. Pierwsza teza Bergsona: poznanie intuicyjne jest różne od intelektualnego. Druga, dalej idąca: poznanie intuicyjne jest doskonalsze od intelektualnego. A trzecia najradzykalniejsza: poznanie intuicyjne jest jedynym prawdziwym poznaniem. W myśl jej, jeśli chcemy mieć wierny obraz rzeczywistości, to musimy się trzymać wyłącznie intuicji.” (W. Tatarkiewicz, Historia filozofii, cz. 3, wyd. PWN, 1970, s. 208-209.)



Władysław Tatarkiewicz

3. Źródła moralności i religii

Rozwój świata przypisywał Bergson tzw. „pędowi życiowemu” (*élan vital*), który jest czynnikiem ewolucji twórczej. Ten „pęd życiowy” odkryć i poznać można poprzez samopoznanie i poznanie świata za pomocą intuicji,

odrzucający uprzednio OGRANICZENIA SPOŁECZNE I RELIGIJNE ORAZ ZASADY LOGICZNE; one bowiem dzielą i deformują postrzegane zjawiska, w tym zjawisko religijności i moralności.

Bergson uznał za błąd poglądy tych filozofów i teologów, którzy moralność i religię wywodzą z jednego tylko źródła – objawienia. Jego zdaniem moralność ma dwa źródła. Jednym jest źródło społeczne, drugim własna inicjatywa jednostek ludzkich. Tym pierwszym, społecznym źródłem moralności, jest społeczeństwo. Ono, zabiegając o zabezpieczenie swego istnienia, wytwarza normy moralne obowiązujące jednostkę w życiu danej społeczności. Ono czuwa nad przestrzeganiem tych norm i stosuje określone sankcje za tych norm łamanie. Ono zatem, społeczeństwo jest źródłem i sankcją obowiązujących norm moralnych. Taką moralność nazywa Bergson moralnością statyczną, bo zadaniem jej jest utrzymanie istniejącego w społeczeństwie bezpieczeństwa zapewniającego temu społeczeństwu stabilne trwanie.

Drugim źródłem moralności jest – zdaniem Bergsona – własna inicjatywa jednostek. Tak rozumiana moralność nie wypływa z nakazu społeczeństwa, lecz z indywidualnego postępowania najlepszych jednostek owego społeczeństwa. Taką moralność uznaje Bergson za dynamiczną, tzn. nie zabiegającą wyłącznie o zachowanie *status quo* czyli istniejącego już stanu rzeczy, lecz zabiegającą o tego stanu ulepszenie i jego doskonalenie. Taką moralność, płynącą z takiego źródła, uważa Bergson za moralność jakościowo wyższą w porównaniu z moralnością statyczną.

Podobnie rzecz się ma z religią, która również wypływa z dwóch źródeł. Pierwszym źródłem jest zagrożenie

egzystencjalne człowieka, który przeżywa lęk przed śmiercią, szuka pociechy w cierpieniu i wtedy religia stanowi dla niego reakcję obronną w życiowych nieszczęściach. Jest to religia statyczna. Obok niej istnieje religia dynamiczna, której źródłem jest życie ludzi wyjątkowych, do których zalicza Bergson mistyków i świętych. Taka religia daje nie tylko pociechę w zagrożeniach, ale poszerza horyzonty widzenia i nadaje wyższą jakość życiu człowieka.

Wybitna polska filozofka Barbara Skarga (1919-2009) w swoim *Wprowadzeniu do Bergsona Dwóch źródeł moralności i religii* nazywa te wywody metafizyką społeczną i moralną. Uważa je za – jak pisze – „wielki apel o wolność myślenia i o zwrócenie się ku duchowości, ku autentycznej wierze, nie spętanej żadnymi dogmatami”. Pisze też o Bergsonie, że „szukając w *Dwóch źródłach*... własnej drogi do transcendencji, nie znajdował jej w religii zinstytucjonalizowanej, statycznej, ani w tradycyjnej metafizyce. Pozostało mu doświadczenie realne, tajemniczy akt kontaktu z Bogiem, akt mistyczny, nie realizujący się w biernej kontemplacji, lecz w wysiłku intuicji supraintelektualnej, której najwyższe natężenie może odsłonić nam nasze własne korzenie i źródło życia w ogóle”. Można i trzeba zauważyć w tym miejscu, że Bergson sympatyzował z nurtem mistycznym w chrześcijaństwie, lecz chrztu nie przyjął z powodu rozpętanego przez hitlerowców antysemityzmu, wiodącego Żydów do holokaustu. Zmarł na zapalenie płuc, chorobę w owych czasach śmiertelną, piątego stycznia 1941 r., stojąc w Paryżu na mrozie w wielogodzinnej kolejce do obowiązkowego zarejestrowania siebie jako członka wspólnoty żydowskiej.

Wracając zaś do owych dwóch źródeł, oddajmy ponownie głos W.

Tatarkiewiczowi, gdyż nikt inny lepiej od niego sprawy wyjaśnić nie potrafi (w: *Historia Filozofii*, T. 3, wyd. cyt., s. 212): „Te dwie moralności i dwie religie występują zawsze zespolone. To tłumaczy, dlaczego zawsze filozofowie usiłowali i moralność, i religię wywieść z jednego źródła. Ale czyniąc tak, błędzili; a tak samo błędzili, chcąc je wywieść z rozumu. Naprawdę jedno ich źródło jest biologiczno-społeczne, a więc poniżej rozumu, drugie zaś jest mistyczne, a więc powyżej niego. Tylko statyczna religia i statyczna moralność ma podłoże naturalne, dynamiczna zaś przekracza granice natury, a więc tym bardziej i granice rozumu. Religia dynamiczna przedziera się do tajemniczej rzeczywistości, niedostępnej dla rozumu. Rozum nie może dosięgnąć przyrody, a tym bardziej Boga. Bóg religii jest inny niż Bóg filozofii, widziany rozumem. Filozoficzne dowody istnienia Boga nie są zdolne wzbudzić wiary, uczynić to mogą jedynie przeżycia mistyczne; jeśli istnieje prawdziwy dowód istnienia Boga, to tylko w nich. Ale czy przeżycia takie są możliwe? Filozofia Bergsona przemawiała na ich korzyść, zwalczając racjonalizm jako jednostronną i powierzchowną koncepcję rzeczywistości. W sporze między racjonalizmem a mistycyzmem – który w czasach nowych zdawał się tak stanowczo przechylać się na korzyść racjonalizmu – stanęła niespodziewanie po stronie mistycyzmu. Po okresie zupełnego rozbratu z metafizyką i zastępowania jej przez nauki szczegółowe, Bergson przystąpił do zdecydowanego do przeciwnego stanowiska: wystąpił z twierdzeniem, że metafizyka jest i możliwa, i niezbędna, a od nauk szczegółowych nawet prawdziwsza i głębiej sięgająca.

Oto najważniejsze publikacje Bergsona w wersji polskiej:

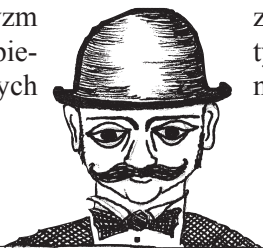
- O bezpośrednich danych świadomości, 1889 (wyd. pol. 1913)
- *Materia i pamięć*, 1896 (pol. 1926)
- *Wstęp do metafizyki*, 1903 (pol. 1910)
- *Ewolucja twórcza*, 1907 (pol. 1912)
- *Dwa źródła moralności i religii*, 1932 (pol. Tłum. Piotr Kostyło i Krzysztof Skorulski, wyd. Hominidy, Kraków 2007)
- *Myśl i ruch*, 1934 (wyd. pol.: *Myśl i ruch: Wstęp do metafizyki, Intuicja filozoficzna, Postrzeżenie z zmiany, Dusza i ciało*, przeł. Paweł Beylin i Kazimierz Błeszyński, PWN, 1963.

4. Dalsze losy bergsonizmu

Po drugiej wojnie światowej (1939-1945) zainteresowanie filozofią Bergsona zaczęło słabnąć. Minęły te czasy, o których pisał Adam Sikora w książce *Od Heraklita do Husserla. Spotkania z filozofią* (wyd. OPEN, Warszawa 1999), kiedy to „wielkie damy paryskiego świata wysyłały swoich lokajów, by na kilka godzin przed wykładem zajmowali dla nich miejsca w audytorium, a studenci protestowali, bo musieli słuchać podziwianego profesora stojąc w przejściach lub tłocząc się w korytarzach”. Zainteresowanie Bergsonem trwało jeszcze w środowiskach inteligencji, zwłaszcza francuskiej, nigdy jednak nie osiągnęło statusu nurtu filozoficznego; miał bowiem Bergson poważnych przeciwników swojej filozofii. Słuchaczem jego paryskich wykładów był dominikanin o. Reginald Garrigou Lagrange (1877-1964), późniejszy promotor pracy doktorskiej Karola Wojtyły (późniejszego papieża Jana Pawła II), poświęconej zagadnieniom wiary w dziełach św. Jana od Krzyża. R. Garrigou Lagrange był w tamtym czasie jednym z najwybitniejszych neotomistów i doradcą Świętego Oficjum (rzymskiej kongregacji czuwającej nad

czystością doktryny katolickiej, następczyni Świętej Inkwizycji i poprzedniczki obecnej Kongregacji Doktryny Wiary). Nie dziwi, że nie bronił poglądów Bergsona, nie dziwi też, że w publikacjach swoich wprost je atakował wykazując, że bergsonizm zmierza ku panteizmowi immanentnemu, negującemu transcendencję i absolutną niezmienną Boga. Nic więc dziwnego, że Święte Oficjum umieściło publikacje Bergsona na *Indeksie ksiąg zakazanych*, zarzucając ich autorowi relatywizację prawd wiary, subiektywizm, agnostycyzm i fideizm, a zwłaszcza zastąpienie Objawienia i racjonalnych

dowodów na istnienie Boga przez intuicję. Ataki płynęły również ze środowisk racjonalistów i scjentystów, którzy zarzucali Bergsonowi obcość francuskiej tradycji kartezjańskiej, zatracenie jej jasności i racjonalności, zarzucali mu wieloznaczność terminów jego filozofii, niejasność terminu „intuicja”, którym posługując się Bergson zrobił z niego – jak pisano – rodzaj wszechpotężnej władzy umysłowej, zdolnej przeniknąć wszystkie tajemnice świata. Bergsonizm nie mógł też skutecznie konkurować z powszechnie panującym scjentyzmem i skutecznym w działaniu pragmatyzmem. □



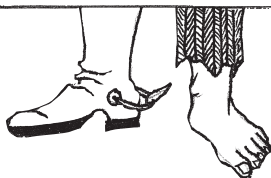
Sytuacja

Ingram Bywater, profesor Oksfordu, dydaktyk i pedagog, szczególnie interesował się nauczaniem. Lubił podczas wizytacji zadawać uczniom najróżniejsze pytania. Pewnego razu podczas jednej z inspekcji zdarzył mu się taki przypadek, że odtąd był ostrożny w wydawaniu opinii o nauczycielach i uczniach.

Przybył do jakiejś prowincjonalnej szkółki i swoim zwyczajem zaczął uczniom zadawać różne pytania. Zdziwił się, kiedy za każdym razem podnosił się istny las rąk. Ponieważ dzieci wywołane przez nauczycielkę dawały za każdym razem dobre od-

powiedzi, zachwycony tym Bywater począł dziękować prowadzącej lekcje za tak doskonale przygotowanie uczniów. Pochwałą i zachwytem nie było końca. Wtedy młoda nauczycielka powiedział mu:

– Panie Profesorze, przyznam się panu, ale proszę mi tego nie brać za złe... To nie żaden cud... Widzi pan, często odwiedzają nas wizytatorzy, a niektórzy są tacy surowi... ja zaś jestem młoda i niedoświadczona, cóż miałam począć? Nakazałam dzieciom, by wszystkie się zgłaszały, ale te, które nie wiedzą, podnosiły lewą rękę, a znające odpowiedź – prawą.



JAN CZAJKOWSKI

WALKA JANA WIKLEFA O EWANGELICZNE UBÓSTWO

1. Sylwetka Jana Wiklefa

Jan urodził się około roku 1320, zmarł około 1384. Był Anglikiem z hrabstwa Yorkshire w Hipswill, położonego koło wioski Wykliff. Posiadał wszechstronnie rozwinięty i docieklivy umysł. Ukończył studia w Oksfordzie, gdzie otrzymał stopień doktora teologii oraz katedrę teologii, otrzymał święcenia kapłańskie i dochody z kilku parafii. Pierwsze dwadzieścia lat swego kapłaństwa spędził na uniwersytecie, gdzie dzięki swej pracowitości napisał wiele traktatów teologicznych, filozoficznych, historycznych, politycznych i etycznych. I chociaż większość tych dzieł pochłonął inkwizycyjny ogień, to jednak część ich zachowali w odpisach jego przyjaciele. Odznaczał się Jan Wiklef nieskazitelną uczciwością, i kapłańską gorliwością, co ułatwiło mu ostrą krytykę obyczajów panujących w ówczesnym Kościele.

2. Podłoże polityczno-ekonomiczne herezji



Właśnie owe obyczaje – ale nie tylko one – lecz również stosunki społeczno-polityczne, stanowiły podłoże herezji wiklefityzmu. „Heretyckie poglądy Wiklefa w za-

kresie dogmatów religijnych wyrażające się we własnej interpretacji tekstów Pisma św. uwarunkowane były nieprawidłowościami poli-

tycznymi i ekonomicznymi panującymi w ówczesnym kościele katolickim i w życiu społecznym Anglii.

Papiestwo przeżywało w tym czasie okres niewoli awiniońskiej. Wybrany na papieża francuski kardynał Bertrand de Got, arcybiskup Bordeaux, który przyjął imię Klemensa V (1305-1314), ściągnął na swą koronację kardynałów do Lionu, a po koronacji pozostał nadal we Francji, osiedlając się na stałe w 1309 roku w Awinionie. Rezydowało tam sześciu następnym papieży aż do Grzegorza XI włącznie (do 1378 r.). W ten sposób papiestwo dostało się w orbitę polityki dworu francuskiego, polityki sprzecznej z interesami Anglii, prowadzącej od roku 1337 wojnę z Francją o tron francuski dla Edwarda III, wnuka króla francuskiego Filipa IV. Miasto Awinion, należące wcześniej do Królestwa Obojga Sycylii, zostało przez papieża Klemensa VI (1342-1352) kupione na stałe dla Stolicy Apostolskiej. Skarbiec papieski świecił więc pustkami i trzeba było szukać nowych źródeł dochodów. W owych czasach wszystkie kraje chrześcijańskie obowiązane były do płacenia tzw. „świętopietrza”, czyli daniny na rzecz świętego Piotra czyli Stolicy Apostolskiej, w której rezydował papież jako następcą świętego Piotra. Papiescy poborcy ścigali co raz większe sumy przy pomocy nowo wypracowanych form podatkowych, takich jak annaty, rezerwaty i inne wymyślne podatki. Majątki natomiast kościelne były w poszczególnych krajach chronione przed podatkami



państwowymi jako lenno Chrystusowe. Dochody z tych majątków, ciągle wzbogacanych legatami i darowiznami różnych magnatów, szły do skarbcza papieskiego, uszczuplając w ten sposób dochody skarbu poszczególnych państw. W ten sposób wpływy finansowe Stolicy Apostolskiej przekraczały kilkakrotnie dochody innych monarchów chrześcijańskich. Krajem zaś, który był szczególnie nękany przez papieskich poborców, była Anglia.

3. Angielska opozycja wobec świętopietrza

Angielska opozycja wobec tych podatków była reakcją naturalną i prawidłową. Między papieżem Urbanem V a królem Anglii Edwardem III powstał zatarg na tle niepłaconego od trzydziestu lat czynszu lennego. Opozycja powstała wśród angielskich lordów, znalazła wyraz w deklaracjach parlamentu i poparciu u króla Edwarda III (1312-1377). Król nie zamierzał całkowicie uchylać się od płacenia daniny, zmierzał jedynie do jej zmniejszenia. W tym celu zainicjował dyskusję z papieskimi poborcami i w roku 1376 wysłał do Brugii w Niderlandach delegację, której członkiem był Wiklef jako „kleryk do spraw królewskich”, mający reprezentować interesy władcy Anglii.

Występując w interesie swego króla, jako osoba duchowna zastosował

w dyskusji argumentację teologiczną. Tego rodzaju argumenty w okresie średniowiecza posiadały najwyższą wagę i stosowane były nie tylko przez ortodoksyjnych teologów, ale również przez ich oponentów, zwanych heretykami. Wiklef nie atakował wysokości danin, lecz samą zasadę ich ściągania, a zaatakował ją w imię ewangelicznej doktryny, nakazującej uczniom Jezusa praktykowanie ubóstwa. Oparł się na tekstach Pisma świętego, które przy pomocy innych uczonych przetłumaczył na język angielski. Wypada tu wyjaśnić, że Kościół katolicki przeciwny był w owych czasach przekładaniu Pisma świętego z łaciny na języki narodowe. Istotnym motywem owego sprzeciwu była możliwość interpretacji tekstów biblijnych odmienna od interpretacji urzędowej, stosowanej przez Kościół. Bogactwo ówczesnego Kościoła dalekie było od idei ubóstwa pierwotnego chrześcijaństwa. To też Kościół od wieków interpretował ideę ubóstwa jako radę, a nie jako nakaz ewangeliczny, mający obowiązywać wszystkich. Wiklef natomiast położył akcent na ubóstwo jako ideał prawdziwego chrześcijanina, autentycznego, nie zdeformowanego wyznawcy Chrystusa. Interpretował zatem teksty Pisma św. po swojemu. Jawił się przy tym nie jako heretyk, lecz jako reformator chrześcijaństwa, które w miarę oddalania się od swych początków, oddalało się również od pierwotnych ideałów moralnych. Poglądy swoje wyłożył Wiklef w książce *O świeckim panowaniu*, na którą w przyszłości będą powoływać się jego zwolennicy. Głosił, że Kościół z racji swego powołania nie posiada praw do własności ziemskiej, kapłaństwo bowiem – jak pisał – „nie jest panowaniem, lecz tylko posługą”, wierni natomiast powinni okazywać duchownym wdzięczność za ich pracę, ale nie mają obowiązku płacenia danin.

Poglądy Wiklefa zbliżały się do utopijnego komunizmu, głosił bowiem, że tylko Bóg jest właścicielem wszelkich dóbr materialnych, a człowiek otrzymuje je od Boga tylko w użytkowanie. Własność prywatna jest wyłącznie skutkiem grzechu pierworodnego. Nie byłoby jej, gdyby człowiek nie zgrzeszył. Ideałem chrześcijanina jest opisana w *Dziejach Apostolskich* (IV, 32-35) własność wspólna: „Jeden duch i jedno serce ożywiało wszystkich wierzących. Żaden nie nazywał swoim tego, co posiadał, ale wszystko mieli wspólne. Nikt z nich nie cierpiał niedostatku, bo właściciele pól albo domów sprzedawali je i przynosili pieniądze ze sprzedaży i składali u stóp apostołów. Każdemu też rozdzielano według potrzeby”. Każdy człowiek – nauczał Wiklef – a zwłaszcza papież i hierarchia kościelna, jeśli nie postępuje w myśl przykazań boskich, traci prawo do użytkowania dóbr ziemskich. Złazca z bytki i rozwiły tryb życia hierarchów świadczą wymownie o pozostawianiu ich w grzechu, co pozbawia ich prawa do majątku i pieniędzy. Wnioski z tego dla praktyki podatków papieskich były jednoznacznie negatywne.

Należy zauważyć, że głosząc ideał wspólnoty dóbr, praktykowany za czasów apostolskich, Wiklef nie nawoływał do zmiany istniejącego stanu rzeczy w drodze rewolucji. Wprost przeciwnie, domagał się posłuszeństwa wobec króla i władzy świeckiej, a ostrze argumentu biblijnego skierował wyłącznie przeciw praktyce świętopietrza. Tak jednak często bywa, że rzucone hasła nabierają nowego znaczenia u słuchaczy, trafiają bowiem na grunt szczególnie podatny, nie dostrzegany pierwotnie przez ich twórcę. Owym podatnym na hasła Wiklefa gruntem były wielkie nieprawidłowości

społeczne w ówczesnej Anglii. „Herezja” wiklefizmu trafiła na podatny sobie grunt.

4. Struktura angielskiego społeczeństwa

Od dawna w Anglii istniało wielkie różnicowanie społeczne. Z jednej strony istnieli wielcy posiadacze ziemscy, handlowcy i bankierzy, z drugiej – uciskani chłopci i inne ubogie warstwy plebejskie. Z liczącej wówczas trzy miliony ludności Anglii trzy czwarte stanowili chłopci, których połowa była przypisana do ziemi (*glebae adscripti*), a pozostali wegetowali w nieludzkich wprost warunkach. Część chłopów uciekała do miast w bezskutecznej nadziei poprawy swego bytu. W miastach jednak rozwój handlu skupiał się w rękach niewielkiej liczby kupców i możnowładców. Miasta nie mogły wyżywić napływowej ludności, dziesiątkowanej co pewien czas epidemiami czarnej ospy i dżumy. Mnożyły się zastępy żebraków, rabusiów i zwykłych bandytów, coraz mniej było rąk do pracy na roli.

W takich okolicznościach społecznych Wiklefowe hasła wspólnoty dóbr nabierały szczególnego znaczenia. Sam Wiklef prowadził skromny tryb życia, by swoim przykładem wskazać na możliwość realizacji tych, wydawałoby się nierealnych, haseł. Wokół niego zgromadzili się uczniowie, którzy za jego radą zrezygnowali z dostatniego życia. Boso, w rudych habitach wędrowali od wioski do wioski, od miasteczka do miasteczka, głosząc ewangeliczne ubóstwo. Katolicy nazywali ich lollardami, czyli siewcami kłokolu, nawiązując w ten sposób do przypowieści ewangelicznej o człowieku, który na polu swoim posiał czyste zboże, a gdy udał się na nocny spoczynek, nieprzyjaciel zasiał w to pole kłokolu i zanieczyścił zboże (Ewang. Mat. XIII, 24-26). W społeczeństwie angielskim

zawrzało. Powstał bunt, w którym Wiklef i jego lollardzi nie brali bezpośredniego udziału. Nawoływali bowiem do spokoju, posłuszeństwa królowi i społecznego ładu. Ale posiane słowo przyniosło plon. Głoszona przez nich krytyka bogactwa, nauka o równości i powszechnym prawie do korzystania z dóbr ziemskich zrobiła swoje. Odpowiadała bowiem potrzebom zbuntowanych chłopów.

5. Wojna domowa

Wojna ta była konsekwencją nierówności społecznych. Na czele zbuntowanych stanął ekskomunikowany kapłan John Ball, zagrzewając cytatami z dzieł Wiklefa do walki przeciw lordom. Głosił: „Nigdy nie będzie dobrze w Anglii, póki dobra nie będą wspólne, póki będą panowie i podwładni, póki posiadaczami nie będziemy my”. Parlament opowiadając się za klasami posiadającymi uchwalił dekryty ograniczające wolność osobistą chłopów, nakładające na nich jeszcze większe ciężary i zmuszające ich do pracy za niskim wynagrodzeniem. W roku 1380 parlament nałożył nowe kontrybucje na chłopów, na skutek czego masy chłopskie, pod wodzą Bala i Wata Tylera, ruszyły na Londyn. W tej krwawej rewolucji zginęło wielu lordów i możnowładców, a wśród nich kanclerz skarbu Rober Hales. Zginął też prymas Anglii arcybiskup Sudbury z Kanterbury. Do jego ściętej głowy przymocowano mitrę biskupią i obnoszono triumfalnie po mieście jako wyraz zniesienia władzy kościelnej.

Rewolucjoniści nie byli jednak konsekwentni, oszczędzili bowiem króla, którego obalić nie chcieli, wierząc w jego sakralną władzę. Podjęli z nim pertraktacje i to ich zgubiło. Król, przeciągając rozmowy, zdołał zorganizować wojsko i krwawo stłumić powstanie. Wat Tyler został podstępnie zabity,

a Ball skatowany i stracony. Zrozumiałe, że Wiklef, obrońca interesów skarbu królewskiego, walczący teologicznymi argumentami z praktyką płacenia podatków papieżowi, popadł w niełaski nie tylko hierarchii kościelnej, ale i dworu królewskiego. Dwór zarzucał mu duchowe ojcostwo buntu chłopów, mimo że Wiklef przez cały czas jednoznacznie odcinał się od rewolucji i nakłaniał chłopów do posłuszeństwa i porządku. Wszak sam był związany raczej z interesami dworu królewskiego i magnatów angielskich, a ideały ubóstwa z czasów pierwotnego chrześcijaństwa podnosił wyłącznie przeciw bogactwu dworu papieskiego i hierarchów kościelnych.

6. Doktryna religijna Wiklefa

Odbiegała ona coraz bardziej od doktryny religijnej Kościoła katolickiego. Jego radykalne poglądy nabrały coraz większego rozgłosu. Biskup Londynu Courtenay broniąc praw papieskich, wezwał Wiklefa na publiczną dysputę do katedry świętego Pawła w Londynie. Dysputa została przerwana, Wiklef bowiem nie chciał odpowiadać na pytania jako oskarżony, w pozycji stojącej. Czuł się stroną w dyskusji, oczekiwał rzeczowych argumentów, a ponieważ ich zabrakło, powrócił do Oksfordu, gdzie już bez ogródek zaczął atakować władzę papieską. W oczach hierarchów jawił się jako buntownik przeciwny władzy kleru. Był niebezpieczny, podważał bowiem społeczną przydatność hierarchii. Co więcej, podważał samą zasadę kapłaństwa. Wiklef pojmował Kościół jako zespół ludzi



wierzących w Boga, a nie jako widzialną organizację hierarchiczną. Głosił, że wolny człowiek odpowiada w swoim sumieniu wyłącznie przed Bogiem, wszechmocnym władcą, panem życia i ludzkiego zbawienia. Pośrednictwo hierarchii (kapłaństwa) między człowiekiem a Bogiem jest niepotrzebne. Atakując papieża, nazywał go antychrystem, wcieleniem szatana, głównym źródłem wszelkiego zepsucia w chrześcijaństwie. W sformułowaniach tych dostrzegamy antycypację późniejszych wystąpień Lutra.

Refleksja Wiklefa atakująca kapłaństwo poszła dalej: to kler, chcąc umocnić swoje społeczne panowanie, wymyślił przeróżne dogmaty, rozbudował teologię, przy pomocy której opętał umysły wierzących. Kler wymyślił dogmat przeistoczenia chleba w ciało Chrystusa a wina w krew. Przyznał sobie w ten sposób rzekomą władzę czynienia cudów podczas mszy, by w uległości wobec tej mocy utrzymywać wierzących. Zdaniem Wiklefa Eucharystia jest tylko symbolem przypominającym Ostatnią Wieczerzę, symbolem wyzbytym wszelkiego cudu. Chleb stosowany w tej symbolicznie pozostaje zwykłym chlebem, a wino zwykłym winem. Ponadto występował Wiklef przeciwko spowiedzi „uszej” (wyznawanie grzechów księdzu do ucha w konfesjonale), celibatowi kleru, krytykował cześć oddawaną relikwiom i obrazom, zwalczał pielgrzymki, naukę o czyśćcu i msze żałobne za zmarłych. Za jedyne źródło wiary uznał Pismo św., co stanowi również antycypację poglądów teologicznych Marcina Lutra.

7. Reakcja hierarchii kościelnej

Od samego początku była ona negatywna, choć nie zawsze skuteczna. Biskup Londynu Courtenay zdawał sobie sprawę z tego, że Wiklef występuje

w interesie skarbu królewskiego i że ma silnych protektorów z królem na czele. Początkowo stosował tylko „synowskie upomnienia. Z czasem jednak, gdy ów „syn” był niezbyt uległy wobec napomnień „ojca”, biskup Courtenay wysłał raport do papieża Grzegorza XI z wykazem ważniejszych tez „heretyka”, wyciągniętych z jego dzieł.

Papież wydał w roku 1377 jednocześnie pięć dokumentów zwanych bullami przeciwko Wiklefowi i jego działalności. W pierwszej bulli ganił biskupów angielskich za ich opieszałość w zajmowaniu się tą sprawą, wydał polecenie biskupowi Kanterbury i biskupowi Londynu zbadania poglądów Wiklefa, a gdyby się okazało, że były one błędne, wtrącić go do więzienia, a złożone przez niego zeznania przesłać do Rzymu. W drugiej bulli polecał – na wypadek ucieczki lub ukrycia się Wiklefa – ogłosić w Oksfordzie pozew, by w ciągu trzech miesięcy stawił się przed papieżem. W trzeciej polecał swym komisarzom, by wyjaśnili królowi Edwardowi III, księżnie von Wales (matce następcy tronu) i Radzie Tajnej, że błędne teorie Wiklefa nie tylko zawierają fałszywe teologiczne, ale są również niebezpieczne dla społeczeństwa świeckiego, a w czwartym ganił kanclerza uniwersytetu i sam uniwersytet w Oksfordzie za to, że tolerował kąkol w pszenicy. Ostrzegając przy tym, że w razie niezastosowania się do rozkazów papieskich, uniwersytet ściągnie na siebie utratę wszelkich przywilejów.

Od celi więziennej uratowała Wiklefa protekcja króla, zainteresowanego ekonomicznie jego działalnością i mającego nadzieję na powstrzymanie strumienia pieniędzy płynącego z Anglii do skarbcza papieskiego. Dopiero po upadku rewolty lollardów i osłabieniu pozycji Wiklefa na dworze królewskim, hierarchia

przystąpiła do skutecznego działania. W roku 1382 synod w Londynie potępił jego 10 tez jako heretyckie, a 14 jako błędne. Wiklefowi odebrano profesurę w Oksfordzie. W 1388 r. król Ryszard II nakazał konfiskatę dzieł Wiklefa i jego stronników, a w 1395 roku arcybiskup Tomasz Arundel ponownie potępił 18 tez Wiklefa. W 1401 król wydał prawo zabraniające głoszenia kazań bez zezwolenia władzy duchownej oraz nakazał heretyków pojmać i więzić, a opornych i powracających do herezji karać śmiercią. Ponieważ zaś na uniwersytecie w Oksfordzie działali jeszcze sympatycy Wiklefa, w roku 1408 zebrał się tam synod, potępił szereg jego błędów i nakazał co miesiąc badać przekonania religijne studentów. W roku 1409 synod w Kanterbury powołał komisję składającą się z 12 teologów w celu ponownego zbadania dzieł Wiklefa. Komisja wypisała z jego publikacji 267 tez, które w roku 1410 potępił kolejny synod w Oksfordzie a dodatkowych 45 tez potępił w roku 1411 synod w Londynie. W tym samym roku uniwersytet oksfordzki poddał się wyrokom władz kościelnych, co przyczyniło się ostatecznie do upadku wiklefizmu. Część profesorów przywrócono na ich katedry, część pozbawiono ich stanowisk. Wreszcie na synodzie w Rzymie w 1413 r. zostało zabronione czytanie pism Wiklefa.

Wiklef odczuwał coraz większą izolację od reszty społeczeństwa. Jego lollardzi radykalizowali się coraz bardziej, ale dla władzy nie stanowili już poważnego zagrożenia. Pozostali przez długi czas sektą religijną, przechowującą w religijnej formie ideały sprawiedliwości i równości społecznej. Wiklef ograniczył swą działalność do swojej parafii i kościelnej ambony. Odstąpili go, pod naciskiem hierarchii, dawni przyjaciele. Przed śmiercią

wydał jeszcze dzieło *Triologus*, w którym zebrał wszystkie swoje dotychczasowe poglądy. Odrzucał m.in. widzialną organizację i władzę Kościoła, postulował opodatkowanie duchowieństwa na cele wojenne, głosił konieczność podporządkowania Kościoła władzy państwowej. Ten ostatni postulat zostanie zrealizowany za czasów Henryka VIII, od którego do dziś najwyższą władzą Kościoła w Anglii jest osoba panującego.

Życie Wiklefa zbliżało się do końca. Podobno, gdy leżał ciężko chory, przyszło doń kilku franciszkanów by go nawrócić. Miał im powiedzieć: „Nie umrę jeszcze ale będę nadal żył by mówić ludziom o waszych występkach”. Dnia 28 grudnia, podczas mszy, którą odprawiał jego uczeń dostał apopleksji. Zmarł 31 grudnia i został normalnie pogrzebany. Nie doszło, bo nie sprzyjały temu okoliczności, ani do rozpraw inkwizycyjnych, ani do spalenia na stosie.

8. Słodka zemsta Ojców Soboru w Konstancji

Chrześcijańska miłość do prawdy i Boga zatriumfowała w roku 1415 na Soborze w Konstancji. Ojcowie Soboru najpierw spalili na stosie Jana Husa, następnie uroczyście potępił poglądy Jana Wiklefa i - trzydzieści lat po jego śmierci - polecili wygrzebać z ziemi jego zwłoki, zmiażdżyć je i rozproszyć w wodach Tamizy, by po heretyku, który ośmielił się nazywać papieża antychrystem, nie pozostały żadne ślady. Dzieła jego nakazano spalić.

Idee Wiklefa nie umarły jednak. Przetwały i odrodziły się w poglądach Jana Husa, Marcina Lutra i Jana Kalwina. Miały też wpływ na oderwanie się Kościoła katolickiego w Anglii od Rzymu za czasów króla Henryka VIII (1491-1547). □

Zniesienie celibatu – rewolucja czy normalizacja?

Od pewnego czasu nasze społeczeństwo (w tym część – niestety, jeszcze niewielka – wierzących) podejmuje dyskusję na temat seksualności księży. Przyczyniło się do tego łamanie celibatu, kryptohomoseksualizm, ujawnienie afer pedofilskich na całym świecie, również w Polsce. Do niedawna był to problem (a może tylko nam się tak wydawało?) wewnętrzny Kościoła instytucjonalnego, a dzisiaj zajmuje się nim świecka opinia publiczna, a od pewnego momentu również organy ścigania w poszczególnych państwach.

Kościół instytucjonalny nie chce podejmować dyskusji dotyczącej problemu celibatu księży, chociaż w ostatnim czasie papież Franciszek jako przywódca duchowy i głowa państwa z pewnymi oporami zaczął zmagać się z tym problemem. Obserwatorzy tego zjawiska zauważają wyraźną sprzeczność między restrykcyjną etyką seksualną, którą Kościół narzuca świeckim, a ogromnym rozluźnieniem obyczajów w jego własnych szeregach.

Czym jest celibat?

Celibat (łac. caelebs – bez żony albo męża, samotny albo samotna, także dawniej „stanu wolnego”) to w zhierarchizowanym kościele instytucjonalnym forma życia polegająca na dobrowolnym zrezygnowaniu z wchodzenia w związek małżeński i zachowywaniu wstrzemięźliwości seksualnej. Ma charakter religijny i jest praktykowany przez kapłanów Kościoła rzymskokatolickiego oraz mnichów wszystkich kościołów chrześcijańskich. Także duchowni w innych religiach, jak np. buddyzm praktykują celibat.

Profesor **Józef Baniak** (polski teolog i socjolog, profesor nauk humanistycznych, specjalista w dziedzinie socjologii religii) rozszerza tę definicję twierdząc, że celibat

oznacza w swej istocie: beżenność, beżeństwo, samotność, rezygnację z małżeństwa zarówno mężczyzny, jak i kobiety. Rezygnacja z małżeństwa, a jednocześnie wybór przez mężczyznę i kobietę stanu beżennego dla różnych ideałów i celów, może być dobrowolna, z własnej woli, albo obligatoryjna, wynikająca z woli lub doktryny czy ideologii władzy zewnętrznej, na przykład kościelnej, religijnej. Zatem rezygnacja z małżeństwa – swobodna lub narzucona instytucjonalnie – i wybór beżenności oznacza cel i sens celibatu. Takie pojmowanie celibatu można przypisać zarówno osobom świeckim, które z różnych przyczyn, powodów i motywacji nie chcą i nie zamierzają wstępować w trwały związek małżeński, a także osobom duchownym, które wybierając stan kapłański lub zakonny, decydują się świadomie na beżenność i na samotność, czyli na życie bez partnera płci przeciwnej.

Natomiast w Encyklopedii Katolickiej przeczytamy, że celibat to „beżeństwo, rezygnacja z małżeństwa; w wielu religiach uważany za ideał życia religijnego i wymagany od duchownych; w chrześcijaństwie – **stan beżeństwa obierany w duchu wiary zazwyczaj jako zobowiązanie, związane ze ślubem czystości lub święceniami wyższymi** (diakonat, kapłaństwo) usankcjonowany prawnie w Kościele rzymskokatolickim, a częściowo także w kościołach wschodnich.”

Jak widać z tej definicji celibat jest łączony z beżennością, życiem według zasad ewangelicznych, ślubem czystości (dziewictwa) i święceniami.

Nakaz człowieka, czy Boga

W początkowym okresie działalności Kościoła celibat nie był obowiązkowy. Pierwsze przepisy prawne ukazały się dopiero w IV wieku (Synod w Elwirze - 306 r.).

W rezultacie czego celibat po tym czasie był narzucany przez papieży i biskupów wbrew woli duchownych i świeckich.

Inna grupa zwolenników związku chrześcijańskiego kapłaństwa z celibatem twierdzi, że celibat nie pojawił się w IV wieku, ale wcześniej tzn., że pochodzi od Chrystusa, że obowiązywał już w Kościele apostoelskim, czyli jest pochodzenia boskiego.

Ignace de la Potterie (belgijski teolog, biblista) również twierdzi, że praktyka celibatu pochodzi od samego Jezusa Chrystusa i Jego uczniów, dlatego wstrzeźliwość u pierwszych chrześcijan była bardzo cenną, jako naśladowanie stylu życia Jezusa i Apostołów (Mt. 19,12). Obowiązek zaś celibatu lub wstrzeźliwości w przypadku mężczyzn żonatych, mimo że stał się prawem spisany dopiero w IV wieku, to jednak od czasów apostoelskich istniał jako prawo przekazywane ustnie i był uważany za najbardziej wskazany stan dla sług Kościoła.

Papież **Syrycjusz** (trzydziesty ósmy papież w okresie od 15 grudnia 384 r. do 26 listopada 399 r.) twierdził, że celibat opiera się na trzech regułach: pierwsza – należy do tradycji apostoelskiej, druga – jest zgodny z Pismem Świętym i trzecia – jest tradycją, której nie można usunąć. Czy aby na pewno?

Ks. prof. **Janusz Bujak** (teolog, Uniwersytet Szczeciński) jest pełen obaw, że celibat może zostać zniesiony, a jest to niemożliwe gdyż: *kapłan jest przez sakrament święceń włączony w Chrystusa – Kapłana i Dobrego Pasterza, którego powinien naśladować we wszystkich aspektach Jego życia i działania, aby określenie alter Christus było nie tylko słowem, ale i rzeczywistością.*

Dlatego papież **Jan Paweł II** w adhortacji posynodalnej „Pastores dabo Vobis” tak pisał: *Szczególnie ważne jest, by kapłan rozumiał teologiczną motywację kościelnego prawa o celibacie. Prawo jako takie wyraża wolę Kościoła, która jest wcześniejsza niż wola podmiotu wyrażona poprzez gotowość. Zaś wola Kościoła znajduje swoją ostateczną motywację w związku, jaki łączy celibat ze święceniami kapłańskimi, które upodabniają kapłana do Jezusa Chrystusa, Głowy*

i Oblubienica Kościoła. Kościół jako Oblubienica Chrystusa pragnie, aby kapłan miłował go w sposób całkowity i wyłączny, tak jak umiłował go Jezus Chrystus, Głowa i Oblubieniec. Celibat kapłański jest więc darem z siebie w Chrystusie i z Chrystusem dla Jego Kościoła i wyraża posługę kapłana dla Kościoła w Chrystusie i z Chrystusem.

Czy celibatu można się nauczyć?

W Polsce do seminariów duchownych, przyjmowani są najczęściej młodzi ludzie dziewiętnasto – dwudziestoletni. Wnoszą tam prócz swojego powołania i umysłu własną cielesność, w tym seksualność, najczęściej mało dojrzałą i jeszcze nie w pełni zintegrowaną z innymi elementami osobowości.

– *Przychodzą ze sprawami związanymi z domem, mają problemy emocjonalne, pytają, jak je uporządkować. Przychodzą, by ich wprowadzić w praktyki ascetyczne, medytacyjne, poradzić coś na rozproszenie w modlitwie* – mówi ks. **Mirosław Cholewa** (teolog, redaktor naczelny „Pastores”, wieloletni ojciec duchowny WMSD w Warszawie) – *Nielatwo temu pokoleniu wejść w nastrój ciszy i skupienia.*

W pierwszym okresie pobytu w seminarium młody człowiek musi przystosować się do życia zgodnie z regulaminem i to jest dla niego największą trudnością. Celibat na razie jest czymś dalekim. Sami seminarzyści uważają (w tym czasie), że celibat jest przereklamowany, nie podejmują dyskusji na jego temat. Uważają, że jest on częścią powołania.

Kościół nakazuje, by księża dobrowolnie wyrzekli się małżeństwa i seksu, traktując tę decyzję jako dowód swojego oddania Bogu, jak powiedział arcybiskup **Grzegorz Ryś** (metropolita łódzki): *Miarą tego, że kleryk odkrył celibat jako dar, jest to, że potrafi za niego dziękować.* I dalej w wywiadzie udzielonym Tomaszowi Ponikło mówi: *Po pierwsze: człowiek, który idzie do seminarium w Kościele rzymskokatolickim nie wybiera wyrzeczenia – takie myślenie to bzdura. Gdyby chciał celibat przeżywać w ten sposób, to się rozsypie. Podstawową sprawą jest*

w ogóle co innego: nie ma w Kościele innego powołania niż powołanie do miłości. Są tylko różne formy jej realizowania. A więc celibat nie jest rezygnacją z miłości. To myślenie totalnie wadliwe. Dlatego jeśli ktoś tak to sobie wyobraża, to już się pogubił. Wybór musi być wyborem pozytywnym. Człowiek musi wiedzieć, dlaczego chce być księdzem, a nie dlatego nie chce być mężem czy ojcem.

Po drugie: kapłaństwo nie jest dla człowieka. Dla człowieka w Kościele jest chrzest. Chrzest decyduje o tym, że jest w Kościele „Kimś”: dzieckiem Bożym, prorokiem, kapłanem i królem. Ale kapłaństwo jest dla Kościoła. A Kościół ma prawo powiedzieć, jakiego chce kapłana. Dlatego podczas święceń kapłańskich jest moment, w którym rektor seminarium staje przed biskupem i mówi: święta Matka Kościół prosi, abyś ich wyświęcił. Bo człowiek sam nie może prosić o święcenia, poprosić musi Kościół. Dwa „chcenia” – kandydata i Kościoła – muszą się spotkać. Kościół zaś chce celibatariusza, by mieć poczucie, że jest choćby jeden człowiek oddany mu całkowicie – tak jak mąż jest oddany żonie. Bo relacja księdza do Kościoła jest relacją obłubieńczą.

– Do celibatu trzeba nauczyć się żyć. A tego nie nauczy samo seminarium – mówi ks. **Jacek Prusak** (jezuita, teolog, psychoterapeuta, psycholog). W seminariach nie ma przedmiotu, który zwie się edukacja seksualna. Sześć lat to czas, aby stwierdzić, czy ma się odpowiednie zasoby do bycia księdzem, czy nie.

Jeśli Pan Bóg powołuje kogoś do bycia księdzem, to przekazuje mu dar, aby poradził sobie z takimi wymaganiami. To nie znaczy oczywiście, że taki człowiek nigdy nie popełni błędu czy nie zdarzy mu się jakiś wypadek. Tylko że będzie miał w sobie tyle motywacji i zasobów, aby słabości przekuć w swoje silne strony.

Z pewnością jednak wiedza z zakresu ludzkiej seksualności przydałaby się w wielu seminariach (...). I dalej: (...) Zakłada się, że w trakcie tej formacji tacy mężczyźni także od strony ludzkiej zostaną przygotowani do tego, co to znaczy, że są mężczyznami, i co to

oznacza, że nigdy nie założą rodziny. Oczywiście, tej wiedzy nie posiadzie się na wykładach czy nie zaczerpnie z książek. To mierzenie się z pewnym brakiem, który został wpisany w taką decyzję.

Innym poważnym problemem jest „jakość” tzw. przewodnika duchowego w seminarium, zdarza się często, że niedojrzały przełożony stwierdza dojrzałość kandydata na kapłana. O czym wspomina w swej książce „Polak katolik?” prof. Stanisław Obirek.

Z kolei prof. **Tadeusz Bartoś** (filozof i teolog, publicysta, były dominikanin, profesor nadzwyczajny Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtuskach) mówi wprost: Świat duchownych tkwi w błędnym kole: niedojrzali emocjonalnie i osobowościowo księża dopuszczają do święceń niedojrzałych kleryków. Weźmy przykład biskupa Paetza, oskarżonego o nadużycia właśnie wobec kleryków, otoczonego w polskim świecie duchownym parasolem ochronnym. Widziałem wielu wychowawców kleryków, którzy byli ludźmi z poważnymi zaburzeniami emocjonalnymi i osobowościowymi.

By uniknąć cielesnych pragnień klerycy otrzymują jedyną radę: módl się, bo seksualność to coś niższego, słabość i ustepstwo.

(...) stosunek chrześcijaństwa do cielesności i seksualności to ogromny temat. Mnie – jak mówi prof. **Stanisław Obirek** (teolog, historyk, antropolog kultury, profesor nauk humanistycznych, profesor zwyczajny Uniwersytetu Warszawskiego, były jezuita) pomogła lektura książek Petera Browna, a zwłaszcza jego znakomitego dzieła „Ciało i społeczeństwo. Mężczyźni, kobiety i abstynencja seksualna we wczesnym chrześcijaństwie”. Myślę, że powinna to być lektura obowiązkowa dla wszystkich kandydatów do celibatu. To jest po prostu polityka sprzeczna z naturalnym uposażeniem człowieka. Szkoda, że teologia katolicka, która tak bardzo dba o naturę (zwłaszcza o naturalne poczęcie!), w tym względzie jest zupełnie ślepa.

Bywa też, że wyświęceni klerycy (po sześciu latach w seminarium), którzy zostali kapłanami, dojrzałe i szczerze wybrali celibat,

ale z czasem z niego wyrosli, jak mówi ks. **Marek Łuczak** (dziennikarz i nauczyciel akademicki, doktor habilitowany nauk teologicznych) - celibat staje się problemem później, kiedy się człowiek starzeje.

Wtedy na jaw wychodzą problemy związane z samotnością, brakiem normalnego życia małżeńskiego i rodzinnego, niemożność realizacji potrzeby miłości i zaspokajania potrzeb seksualnych.

Dlatego część kapłanów opuszcza na stałe Kościół instytucjonalny, a część (niemala) żyje w nieformalnych związkach z kobietami. Oczywiście celibat nie jest jedynym powodem odejścia kapłanów z Kościoła.

Profesor Józef Baniak w opracowaniu *Źródła i przyczyny kryzysu tożsamości kapłańskiej księży rzymskokatolickich w Polsce* (2009 r.) publikuje świeckie przyczyny kryzysu (w procentach wskazań; można było wskazać kilka przyczyn).

- Trwałe stosunki seksualne z kobietami	79,1
- Trwałe więzi uczuciowe z kobietami	74,4
- Chęć posiadania rodziny	70,4
- Chęć posiadania dzieci	67,2
- Brak uzdolnień do celibatu	64,8
- Lęk przed samotnością	63,7
- Alkoholizm i pijaństwo	63,4
- Wygodnictwo życiowe	63,2
- Laicki styl życia	62,2
- Poczucie bezsensu życia	60,5
- Homoseksualizm księży	58,4

Polskie władze kościelne nie są skłonne do rzetelnego poinformowania opinii publicznej o rzeczywistej ilości przypadków opuszczenia przez księży szeregów duchowieństwa. Mówi się o liczbie około 70 osób rocznie, w rzeczywistości jest ich znacznie więcej.

Oficjalne motywacje, jakie są podawane, to najczęściej konflikt z władzami kościelnymi lub wewnętrzny konflikt wobec nauki Kościoła. A tak naprawdę w ogromnej liczbie przypadków chodzi o związek z kobietami. Takie zachowanie wydaje się być uczciwe, bo drugi aspekt to prowadzenie przez kapłanów „podwójnej gry”, czyli związek konkubentki, bardziej lub mniej jawny.

Jak kobiety postrzegają duchownych jako swoich partnerów?

Cytowany wyżej prof. Józef Baniak przeprowadził badania na próbie 110 polskich kobiet związanych z duchownymi. Celem badania było ukazanie wieloaspektowego nastawienia kobiet do obowiązkowego celibatu księży oraz do jego roli w ich życiu osobistym i zawodowym oraz do ich abstynencji (czystości) seksualnej.

Wprawdzie celibatem księży zajmują się również teologowie i psychologowie religii, ale w swoich rozważaniach pomijają kwestie realnych związków emocjonalnych, seksualnych i egzystencjalnych kobiet i księży (zakonników). Związki z kobietami są ujmowane w kategorii konsekwencji, jakie mogą spotkać księży.

Zjawisko niestosowania się wielu duchownych do zasad celibatu jest w Polsce nadal tematem tabu, przemilczanym przez władze Kościoła, choć jest faktem. Zjawiskiem ciągle się rozrastającym szczególnie wśród młodych księży. Mają oni sprzymierzeńców wśród młodych ludzi (laikatu), którzy w znacznym odsetku nie akceptują nakazu celibatu i abstynencji seksualnej księży. Jest również w naszym społeczeństwie świeckim spora grupa o poglądach ortodoksyjnych, nietolerująca miejsca kobiety w życiu kapłana.

Kobiety związane z księżmi są w różnym wieku, mają różne wykształcenie i zawody, mieszkają w środowiskach miejskich i wiejskich. Jeśli chodzi o ich stosunek do religii, to trafiają się kobiety bardzo religijne, obojętne religijnie lub wręcz niewierzące; utrzymujące stały związek z parafią lub nie.

Niektóre kobiety odczuwają wyrzuty sumienia i lęk przed tzw. „karą bożą” ponieważ „przyczyniły” się do odebrania Bogu jego sługi. Inne kobiety wręcz przeciwnie, nie odczuwają lęku, nie chcą dzielić się wybranym księdzem ani z Bogiem, ani Kościołem, chcą, by należał wyłącznie do nich.

Związki kobiet z księżmi trwają od kilku do kilkudziesięciu lat. Wskazuje to na łączącą partnerów głęboką więź emocjonalną – miłość oraz trwałą więź seksualną. Czego owocem są

bardzo często dzieci. Ich uznanie i troska o ich byt nie jest cechą wszystkich księży. Część kapłanów wyparła się ojcostwa, co skutkowało porzuceniem zarówno dziecka jak i jego matki. Takiej postawy porzucone kobiety nie potrafiły zrozumieć i jej zaakceptować.

W przeprowadzonych badaniach większość kobiet nie wątpi w autentyczność uzdolnień kapłańskich partnerów, twierdzą, że są oni obdarzeni specjalnymi predyspozycjami do bycia księżmi lub zakonnikami i dobrze wykonują swój zawód. Starają się spojrzeć obiektywnie i bez uprzedzeń na nich i ich kapłaństwo, a niedomogi i braki w pracy oceniają krytycznie i sprawiedliwie. Większość kobiet chce, by księża (zakonnicy) pozostali duchownymi i żyli z nimi w związku, niż żeby dla nich porzucili kapłaństwo.

Najlicniejsza grupa kobiet twierdziła, że ich związek z księdzem miał charakter głęboko emocjonalny i seksualny, opierał się na głębokiej miłości. Jednak w ich ocenie partnerzy więcej uwagi poświęcali więzi seksualnej.

Czy kobiety i księża żyjący we wspólnym związku mieli dylematy moralne i religijne? Tak, zwłaszcza kobiety wykazywały negatywne reakcje sumienia.

Większość badanych kobiet uważa, że celibat winien być dobrowolnym wyborem dokonany przez księży, którzy są zdolni do życia bez kobiet i w samotności. Żyjąc nielegalnie w związkach z kobietami, księża postępują jak hipokryci.

W podsumowaniu badań prof. Józef Baniak stwierdza, że:

(...) Księża i ich związki z kobietami ukazane w tej pracy są przykładem dramatycznej sytuacji, podwójnych standardów moralnych, z pomocą których księża ci i ich kobiety próbowali postępować wbrew zasadom i regułom moralnym wskazanym im przez idealne założenia doktrynalne Kościoła. We własnych postawach i działaniach księża ci chcieli ukazać, że jako duchowni mają prawo do własnej miłości i seksualności, do związków z kobietą, do małżeństwa i rodziny, bez rezygnacji z kapłaństwa.

Badania jakościowe tu prezentowane wykazały, że księża i ich kobiety, decydując się dobrowolnie na miłość zakazaną, mają świadomość konsekwencji, jakie czekają ich w różnych sferach życia – osobistego i publicznego, nie wyłączając też potępienia społecznego w Kościele i we wspólnotach świeckich katolików. Porażki życiowe, jako skutek praktyczny tego związku zakazanego duchownym, są widoczne tak u księży, jak i u kobiet z nimi żyjących. Jednak rozpad wspólnego związku lub świadome porzucenie kobiety przez księdza, więcej porażek przysparzają kobietom niż księżom. Sytuację tę podobnie postrzegają i oceniają same kobiety, w której znalazły się przez brak odpowiedzialności i lekkomyślność księży jako swoich kochanków i konkubentów. Niektóre z kobiet porzuconych przez księży, którym zaufały w pełni jako swoim partnerom życiowym, zerwanie wspólnego związku i odejście od nich, pozostawienie ich własnemu losowi, niekiedy w ciąży lub z dzieckiem, porównywały do rozpadu własnego małżeństwa przez rozwód z winy męża, którego skutki są podobne.

Skutki celibatu, które odczuwa jednostka i instytucja

Skutki, jakie ze sobą przynosi celibat dotyczą nie tylko jednostki – księży, zakonników, zakonnice (bo również w zakonach żeńskich ten problem występuje), partnerek, partnerów oraz dzieci narodzonych z tych związków, ale również samego Kościoła instytucjonalnego.

Prof. Tadeusz Bartoś w wywiadzie udzielonym Newsweekowi stwierdził, że: *Celibat sprawia, że człowiek w wymiarze emocjonalno-seksualnym przestaje się rozwijać. U celibatariuszy seksualność pozostaje nierzadko na poziomie nastolatka, bo nie ma możliwości wyrażania się w osobowej więzi z drugim człowiekiem. Więzy, która dojrzewa w bliskości, czułości, intymności, zaufaniu. Tego wszystkiego celibatariusze są pozbawieni. Bezżeństwo jest więc wychowaniem do niedojrzałości emocjonalnej.*

Tadeusz Bartoś widział funkcjonowanie tego zjawiska od wewnątrz, natomiast prof. **Zbigniew Lew-Starowicz** (polski psychiatra

i psychoterapeuta, ekspert z zakresu seksuologii i konsultant krajowy w tej dziedzinie, profesor nauk medycznych) jako osoba świecka przedstawił wyniki badań w raporcie „Seksualność Polaków” (2002 r.) w następujący sposób:

[celibat] wiąże się z uruchomieniem mechanizmów obronnych i zachowań zastępczych, które mają negatywny wpływ na duchownych i ich relacje z wiernymi. Wymienia się najczęściej: idealizowanie lub deprecjonowanie kobiet, kompensacyjne dążenie do zaszczytów, bogactwa i uznania, brak poczucia rzeczywistości i znajomości codziennego życia wiernych, niechęć do świeckich i wywyższanie się nad nimi, rozbudowanie teologii grzechu, obsesji antyseksualnych, faryzeizmu i obłudy, tłumienie seksu prowadzące do zaburzeń zdrowia, nadmiernego zainteresowania sprawami seksu u wiernych, zachowań zastępczych (homoseksualnych, pedofilnych) itd.

W ostatnich latach, miesiącach, zjawiska takie jak: komunizm dla rozwodników, stosunek do mniejszości seksualnych, kapłaństwo kobiet czy poluzowanie lub zniesienie celibatu, przestają być tematem tabu, a to za sprawą ujawnianych afer i postawy, jaką z konieczności oczyszczenia Kościoła przyjął papież Franciszek. Dla takich dogmatyków jak Jan Paweł II czy Benedykt XVI były to sprawy zamknięte. Obecnie dyskusje na wymienione wyżej tematy mają charakter debaty publicznej. Wszędzie, tylko nie w Polsce. Dlaczego? To pytanie wymaga oddzielnego artykułu.

Papież Franciszek zwołał na początek października nadzwyczajny Synod Biskupów, którego tematem będzie „Amazonia: nowe drogi dla Kościoła i dla ekologii integralnej”. Pod słowami „nowe drogi dla Kościoła” z dużym prawdopodobieństwem kryje się walka o celibat.

Najprawdopodobniej podczas tego synodu (prócz kwestii ekologicznych) będą się ścierały poglądy wielu duchownych – biskupów – „za” i „przeciw” celibatowi. Biskupi brazylijscy, niemieccy, austriaccy w obliczu współczesnego kryzysu powołań kapłańskich; nie tylko w Ameryce Południowej,

Afryce i na Pacyfiku, ale i w Europie (Francja, Niemcy), uznali, że konieczne jest wyświęcanie na księży mężczyzn żonatych – tak zwanych *viri probati* („mężowie sprawdzeni”).

Byliby to mężczyźni o nieposzlakowanej opinii w swojej wspólnotce. Ich małżeństwo powinno trwać wiele lat i być trwałe, stabilne. Tacy pobożni wierni, najlepiej mający już dorosłe dzieci, mogliby poświęcić się posłudze kapłańskiej.

W tej kwestii wypowiedział się na konferencji prasowej 27 stycznia br. papież **Franciszek** odpowiadając na pytanie Caroline Pigozzi (Paris Match) powiedział:

(...) można wyświęcić starszego mężczyznę żonatego, ale jedynie po to, aby sprawował manus sanctificandi, to znaczy, aby sprawował Mszę św., sakrament pojednania i namaszczenia chorych(...).

Na drugie pytanie Pigozzi: czy można sądzić, że w Kościele katolickim, idąc za obyczajem wschodnim, pozwolisz, by mężczyźni żonaci zostali kapłanami?

Franciszek odpowiedział:

*(...)Osobiście uważam, że celibat jest darem dla Kościoła. Po drugie, nie zgadzam się, by pozwolić na celibat opcjonalny: mogłaby jedynie pozostać taka możliwość w miejscach najodleglejszych – myślę o wyspach Pacyfiku. (...) Ale czym innym jest myślenie o takim rozwiązaniu, kiedy istnieje potrzeba duszpasterska, tam pasterz musi myśleć o wiernych. Istnieje książka księdza Lobingera, to interesujące – jest to kwestia dyskutowana między teologami, nie ma mojej decyzji. Moja decyzja jest następująca: **nie zgadzam się na opcjonalny celibat przed diakonatem** (podkreślenie autora). To moja osobista sprawa, nie zrobię tego, to jest jasne. Czy jestem „zamknięty”? Być może. (...)*

Takie stanowisko prezentował papież kilka miesięcy temu, a jakie będzie pokłosie tego bez wątplenia historycznego synodu – zobaczymy. Franz-Josef Overbeck, jeden z wielu postępowych biskupów przygotowujących to wielkie wydarzenie, jest dobrej myśli. „Po nim już nic nie będzie takie samo” – oczywiście ma na myśli funkcjonowanie Kościoła katolickiego. □

Józef Baniak - *Obowiązkowa bezżenność i abstynencja seksualna księży rzymskokatolickich w wyobrażeniach i ocenach kobiet żyjących z księdzem we wspólnym związku*, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, *Humaniora*. Czasopismo Internetowe Nr 4 (20)/2017,

Janusz Bujak - *Historyczne i duchowe aspekty celibatu w kościele*, Tarnowskie Studia Teologiczne, tom XX/2, 2012,

Paweł Chmielewski - *Celibat to już przeszłość? Co szykują progresiści na Synod Amazoński*, Polonia Christiana, 27.05.2019,

Federic Martel - *Sodoma – hipokryzja i władza w Watykanie*, wyd. Agora, 2019,

Artur Nowak – *Czy w kościele zanosi się na koniec celibatu? Wiele na to wskazuje*, Newsweek, 21.04.2019,

Ewelina Nowakowska – *Bogu i ludziom*, Polska Times.pl, 26.10.2013,

Stanisław Obirek – *Polak katolik?*, wyd. CiS, Stare Groszki, 2015,

Tomasz Ponikło – *Ciało w celi(bacie) –bp. Grzegorz Ryś*, Kanonicy Regularni Laterańscy, 13.03.2012,

Grzegorz Ryś – *Celibat*, wyd. Znak, Kraków 2002,

Wawrzyniec Smoczyński – *Debata: Ksiądz, powołanie i seks*, Polityka, 10.05.2010,

Tomasz Stawiszyski – *Tadeusz Bartoś: Celibat jest niehumaniczny*, Newsweek Polska, 25.03.2010,

Widziałem wszystkie kolory – konferencja prasowa papieża Franciszka z 27.01.2019 r., KAI/VATICAN. VA, 31.01.2019.

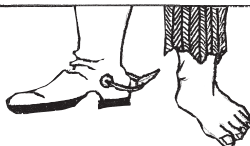


Asysta

Gdy w 1852 roku zmarł w Londynie książę Wellington, cały korpus dyplomatyczny przy dworze brytyjskim został zaproszony na uroczysty pogrzeb i nabożeństwo w katedrze św. Pawła. Ambasador Francji po otrzymaniu zaproszenia długo się zastanawiał i wreszcie udał się do ambasadora Rosji po radę:

– Jestem w wielkim kłopotcie – rzekł – Królowa wiktoria zaprasza nas na uroczysty pogrzeb księcia Wellingtona. Jakże mam tam pójść, zważywszy na wielkie krzywdy wyrządzone przezeń mej ojczyźnie?

– Ponieważ książę Wellington już nie żyje – odparł zapytany – uważam, że może pan śmiało iść na jego pogrzeb. Co innego, gdyby pana zaproszono do asystowania przy jego zmartwychwstaniu... wtedy radziłbym odmówić.



KAZIMIERZ PASENKIEWICZ

Litwa 2. Malinówka. Pierwsza miłość

Litwa oglądana z niewierańskiego dworku w latach 1907-1909 i Litwa oglądana z Malinówki w latach 1911-1915 były bardzo różne. Malinówka, folwark pułkownika Antoniego Malinowskiego, leżała w odległości 11 wiorst (wiorsta = kilometr) od Niewieran, po drugiej stronie magistrali Siedlec-Dołogoje, zbudowanej za pieniądze francuskie. Kolej tę budowano w latach 1901-1905 i ukończono na dwa lata przed moim pierwszym przyjazdem na Litwę.

Jadąc z Malinówki do Niewieran jechało się przez las, potem przez łąki wzdłuż rzeczki wypływającej z jeziora Serwecz; mijało się majątek Parafianów Stotwińskich; za kościołem przejeżdżało się przez most na tej rzeczce i stamtąd w górę do Zaborców. Następnie przez sosnowy las do Repich i dalej przez sfalowane pola do majątku Domeyki, Sitce. W Sitcach przejeżdżało się przez groblę między dwoma dużymi stawami i mijało wieś. Na południe otwierał się rozległy widok na torfiaste łąki. Dalej prowadziła droga przez pola i rzadki las starych dębów do odległych o dwie wiorsty Niewieran.

Na przestrzeni jedenastu kilometrów cała gama uroków Litwy. Drogi w tych okolicach były bardzo malownicze. Biegły przez pola, pagórki, lasy, rzeczki, torfowiska, patriarchalne wsie i zaścianki pełne krzyżów, drzew i głązów.

Z dworku w Niewieranach folwark i kraj oglądał dziewięcioletni chłopiec. Uwaga jego koncentrowała się na tym, co było bliskie i co leżało w zasięgu jego

działania. Folwark był ośrodkiem kraju; dalsze wsie, lasy i pola były otoczeniem folwarku. Niewierany wyznaczały granicę zainteresowań; widziałem wszystko, co tam rosło i żyło. Oczy dziecka, jego wnikliwy i chłonny umysł, oglądały świat niedostępny już ślepnącym oczom późniejszych lat.

W Malinówce nie byłem już dzieckiem, żyłem w innym świecie niż Niewierany. Zmieniły się proporcje i perspektywy, okazało się np., że folwark był bliżej Petersburga niż Kijowa, a wydawało mi się, że Petersburg leży na krańcach Ziemi.

To, co się działo w Malinówce nie było czymś wyjątkowym, niepowtarzalnym. W innych folwarkach i wsiach żyli mężczyźni i kobiety równie interesujący jak tam. W Malinówce wiedziałem bardzo mało o samym folwarku, o zapasznikach (rodzaj dzierzawców); więcej wiedziałem o bliższych i dalszych sąsiadach, ich folwarkach i sprawach.

Niewierany były zabytkiem (dość zresztą częstym w tym kraju) dawnych wieków. Malinówka zaś była otwarta na świat. Duży kiedyś majątek dziad Malinowski podzielił między trzech synów. Jednym z nich był wuj Antoni. Jego starszy brat podzielił swoją część między cztery córki; powychodziły one za mąż za sąsiednich obywateli. Szanowały wuja Antosia i zapewniły mu liczne koligacje w powiecie. Młodszy brat Antoniego miał dwóch synów: Wiciuka i Józiuka (?) Malinowskich. Pozostali oni w Malinówce. Część Antoniego wynosiła około

80 ha, a jego bratanków po 40, co utrudniało im utrzymywanie towarzyskich stosunków w powiecie.

Antoni Malinowski ukończył kadecki korpus i jak wszyscy oficerowie Polacy pełnił służbę na krańcach Rosji – na Kaukazie. Dosłużył się tam stopnia pułkownika i jako emeryt w 1907 r. wrócił do Malinówki. Był fanatycznym wyznawcą Tołstoja i uważał, że nie praca umysłowa, ale fizyczna sprzyja czystości seksualnej i rozwojowi etycznemu człowieka, oraz obroni go przed degeneracją. Pragnął wpoić w nas te zasady i wymagał pracy fizycznej w polu.

Po powrocie do Malinówki kształcił się w zakresie agronomii. Jako jeden z pierwszych zaczął stosować siedmiopolówkę, nawozy mineralne, prawidłowe płodozmiany. Sprowadził nową rodzinną zapaszników, składającą się z trzech młodych mężczyzn, braci, żony najstarszego i trzech młodych sióstr. Nie bez trudu przekonał ich do nowych metod gospodarki. Całą swą emeryturę wkładał w nią.

Po ożenieniu się w 1909 roku z siostrą naszego ojca (wdową po Godziejewskim z Niewieran) postawił parę gospodarskich budynków i nowy, według własnego pomysłu, dworek. Jedyne, co upodobało go do typowych na Wileńszczyźnie dworów, to bardzo duża kuchnia.

Wujaszek Antoś miał na własny użytek w stajni dwa konie angielskie: Alfę i Orlika, oraz powóz. W oborze było osiem krów. Inwentarz zapaszników był o wiele liczniejszy.

Wujaszek cieszył się wielkim szacunkiem w okolicy; lubił i utrzymywał stosunki towarzyskie z sąsiadami; stale był wybierany do sądów obywatelskich. Nas przyjął bardzo gościnnie i traktował przyjaźnie, chociaż często przeciwstawialiśmy się (ku niezadowoleniu cici) jego teoriom z pozycji młodopolskich.

Nie przyszło nam wtedy do głowy, że nie mieliśmy racji.

W letnich miesiącach przyjeżdżali do wujostwa nasi krewni z Ukrainy i krewni wujaszka z Wilna.

Jako pierwsi pojawiliśmy się w Malinówce mój brat Wojciech i ja. Było to 20 czerwca 1911 roku. Wysiedliśmy w Parafianowie; był wczesny pogodny ranek. Po nieprzespanych nocach i długiej podróży lekkie oszołomienie odrealniło świat; oglądaliśmy go jakby z daleka, poprzez mgłę wyobraźni i wspomnień. Byliśmy ciekawi innego niż Niewierany folwarku i nowego w naszej licznej rodzinie wujaszka. Rodzina nasza wchłaniała nowych wujaszków i ciotki, odrywając ich od własnych rodzin.

Pamiętam dobrze dzień przyjazdu na Litwę. Za nami spanie na kołyszących się półkach, częste i obfite posiłki podróżne, wybieganie na małe, ciche stacyjki po wrzątek do imbryka (podstawowy ekwipunek podróżującego), uroczyste odjazdy pociągu: jedno uderzenie gongu, po 5 minutach dwa, po minucie – trzy, znak odjazdu chorągiewką, przeciągły gwizdek oberkonduktora, gwizd parowozu i pociąg powoli rusza.

Podróże koleją w tych czasach miały niewysłowiony urok. Przedziwny, upajający kontakt z mijanymi lasami i polami, przedmieścia miast, gwar i ruch na peronach dużych stacji. Znajomości zawierane w wagonach, długie rozmowy, a nawet przelotne miłości tworzyły nastrój podróży. Odtwarzali go Tołstoj w *Sonacie Kreutzerowskiej*, poeta Gumiłow, a piękny epizod na angielskiej stacyjce jest węzłową sytuacją w *Ciemnym kwiecie* Galsworthy'ego.

Wagony III klasy obfitowały w liczne sceny rodzajowe; były one niewyczerpanym źródłem anegdot, opowiadaczy es-tradowych i nowel. Dla nas były także polem popisów sportowo-gimnastycznych;

wysiadało się na stacyjce, spacerowało nonszalancko i wskakiwało do ostatniego wagonu w biegu pociągu.

Życie wagonowe w dalekobieżnych pociągach było niezwykle intensywne. Wagon na jakiś czas lub na zawsze odrywał człowieka od bliskich, zapowiadał przemianę losów. Jechało się na spotkanie radości, smutków, czasem tragicznych chwil. Niecodzienny nastrój, przygodni znajomi, których się więcej nie spotka, wszystko to skłaniało do zwierzeń. Miejsca tych rozmów to bezkresne drogi Rosji, kraju zmagania, wędrówek, poszukiwań; kraju nieprzebytych lasów, tysiący rzek i jezior, wsi i miast.

Przyjazd nasz był opóźniony; nie było na stacji koni [od Wujaszka], ale nie zabrakło furmanek [furmanów]. Zapewniały one komunikację między stacją Parafianów a miasteczkiem Dokszyce. W okresie międzywojennym leżało ono na samej granicy z ZSRR. W samym miasteczku były źródła Berezyny.

Wczesnym rankiem przybyliśmy do Malinówki. Zaintrygował nas obszar sadyby i liczne zabudowania. Minęliśmy sadzawkę i wjechaliśmy na duże gospodarskie podwórko. Wrota od podjazdu i ogródka przed domem otworzył nam ktoś w półwojskowej kurtce; wydał mi się szczupłym młodym człowiekiem – był to nasz nowy wujaszek. Ciotka spotkała nas na ganku z kolumienkami. Była tak uradowana, że nawet nie narzekała na opóźnienie.

Dom był świeżo malowany, zapach farby olejnej był silny, ale nie przykry; urządzono go po miejsku, ustawiono tu meble przywiezione z Kijowa. Północne okna wychodziły na pola i kępy gajów; w odległości kilkuset metrów czerniał las. Południowe okna wychodziły na klomby przed oknem i dalej na gospodarskie podwórko.

Po wczesnym śniadaniu obejrzelśmy zabudowania gospodarskie. Konie Alfa i Orlik powitały nas przyjaźnie. Potem wyruszyliśmy w kierunku lasu. Szliśmy miedzami kłoszących się zbóż, przez łąki i gaje; i po przebrnięciu przez strumyk weszliśmy w gęsty, jodłowo-brzozowy las. Jego cisza i zielony mrok po zgiełku podróży były kojące. Zwłaszcza piękne były duże polany, na których rosła już „otawa” (drugi pokos). Słońce świeciło, trawy były rozgrzane, postanowiliśmy chwilę tylko poleżeć i słuchać szumu drzew, ale zasnęliśmy i spali do obiadu. Ciotka myślała, że zabłądziliśmy.

W domu zastaliśmy ku wielkiemu zdziwieniu i radości daleką kuzynkę z Kijowa; nazywaliśmy ją panną Manią; była starsza ode mnie o sześć lat. Panna Mania, śliczna dwudziestoletnia dziewczyna, pracowała w dyrekcji kolei południowo-zachodnich i często odwiedzała nas w Kijowie. Łączyły mnie z nią od dawna dziwne stosunki. Ilekroć przychodziła czułem lekką senność, jak w ciepłej kąpeli. Całowała mnie i tuliła jak dziecko; a także potem, gdy nie byłem już dzieckiem.

Obecność jej w Malinówce dodała atrakcyjności wakacyjnym dniom, a lasom i łąkom – urokowi.

Zawdzięczam jej znaczną poprawę kondycji fizycznej. Była ona entuzjastką wodolecznictwa Kneippa i gimnastyki Millera. Zademonstrowała mi w swoim pokoiku, jak się je stosuje; poznałem tajniki ciała kobiecego, dotykając je. Do końca tego dnia miałem zawroty głowy i nudności. Więcej okazja się nie powtórzyła.

Zawdzięczając to kuzynce i wujowi wyjechałem z Malinówki jako silny i zdrowy chłopiec; a przyjechałem jako najslabszy w klasie i chorowity.

Gimnastyka i zimna kąpiel stały się dla mnie koniecznością. Zażywałem



Rodzina Pasenkiewiczów

kąpeli zimnych przez wszystkie lata w łaźniach i rzekach, przereślach, budząc zaniepokojenie przygodnych widzów. Gimnastykę uprawiam do dziś.

Drugą atrakcją tych wakacji była francuska beletrystyka w rosyjskim tłumaczeniu. Wujaszek Antoś miał biblioteczkę współczesnych autorów francuskich – premie „Birzowych Wiedomostiej” (*Wiedomości giełdowe* – duża gazeta petersburska). Do mojej lektury należeli: Bourget, Catulle Mendès, Marcel Prévost, Octave Mirbeau, Camille Lemonnier, Paul Margueritte, Anatol France i inni. Lektura sprawiała mi wyjątkową rozkosz. W zielono-niebieskiej przestrzeni pola pojawiały się zwiewne postacie wylonione z kart książek, ich miłości i klęski.

Brat mój namiętnie pisał wiersze. Szliśmy zaraz po śniadaniu do lasu i tam rozdzielały się nasze drogi. Każdy szukał dla siebie tego jedyne miejsca, które odpowiadało jego nastrojowi lub wyobraźni.

Korzystaliśmy też w pełni ze zwykłych uroków wsi. A więc wieczorne spacerowanie, spanie na sianie w puni, prace przy sianokosach i żniwach w towarzystwie młodziutkich sióstr zapaszników. Lubiliśmy jazdę konną do miasteczka po zakupy lub na pocztę, a zwłaszcza sportową na przelaj przez miedze,

rowy i gaje. Była z tym związana przykra okoliczność: obsługa i czyszczenie koni. Wuj był pedantem, wymagał dobrej sportowej jazdy, ale także troski o konie.

Wujostwo prowadzili życie towarzyskie: utrzymywali stosunki z sąsiadami w promieniu 25 wiorst. Większość sąsiednich folwarków mieściła się w przedziale 50

do 400 hektarów. Mniejszy folwark nie mógłby się utrzymać jako szlacheckie gospodarstwo, a większe posiadłości składały się z kilku folwarków stanowiących klucz. Kilka kluczy to już magnacka fortuna. Jeździliśmy często do sąsiadów z różnych powodów i okazji. Do Drozdowiczów, gdyż majątek ich leżał w pobliżu pięknego jeziora Serwecz; do Radzewicza z Chodorówki, jako do bliskiego sąsiada, podobnie do Siemaszki; do Obryckich, ponieważ byli tam chłopcy w naszym wieku. Najczęściej jeździliśmy do powinowatych wuja, do Szulenników, Kerweckich, Drozdowiczów, Malinowskich, spokrewnionych przez liczne panny z Malinówki. Był to w okolicy okres młodych małżeństw i małych dzieci.

Na przybycie przygodnych gości gospodynie były zawsze przygotowane; każdy dworek posiadał zapas wędlin, suszeniny, konfitur i serów na cały rok. Różnego rodzaju salcesony i bocзки, ułożone na talerzach w koncentryczne koła przypominały barwne bukiety; podobnie pięknie prezentowały się sery i kruche ciasta. Częstowano ogórkami z miodem, marynowanymi rydzami, brusznicą z gruszkami. Gości przyjmowano chętnie i usiłowano zatrzymać na dłużej.

Ziemiaństwo litewskie różniło się bardzo od ukraińskiego. Na Wileńszczyźnie

przeważali właściciele drobni i średni, na Ukrainie – obszarnicy. Na Ukrainie istniał silny ośrodek polskości – Kijów. Na Litwie Wilno utraciło swą rolę krzewiciela kultury polskiej. Na Wileńszczyźnie od czasów Murawiowa prześladowano polskość konsekwentnie i bezwzględnie. Na przestrzeni stuleci młode pokolenia były mniej wykształcone i uświadomione narodowo niż ich ojcowie. Sytuacja materialna nie pozwalała rodzinom wysyłać swoich dzieci na naukę do miast. W domu uczyły się czytać i pisać, poznawały ogólnikowo świat i historię własnego narodu. Od starszych przejmowały tradycje rodzinne i ogładę towarzyską. Książki, obrazy, fortepiany, które czasem upiększały pokoje gościnne, we dworach pochodziły przeważnie z dawnych lat. Ale i teraz spotykało się tu nierzadko mądrych, znających świat i życie ludzi. Spotkanie z nimi robiło na nas duże wrażenie, budzili prawdziwy szacunek.

Praca w gospodarstwie, rzadkie wizyty, kościół, uroczystości rodzinne, jarmarki wypełniały na pozór ich życie. Nie było ono jednak sielanką. Małych folwarków nie można było dzielić; po ojcu przejmował zwykle najstarszy syn, a los pozostałych braci był trudny. Nie wszyscy znajdowali pracę w większych majątkach, w tartakach; trafiała im się czasem dzierżawa. W mieście posady rządowe były zamknięte dla Polaków, a rzemiosło byłoby degradacją. Stąd nieublagana walka w rodzinie, często między braćmi, o sukcesję. Zdarzało się, że uporczywe spory kończyły się zabójstwem. Wuj Antoś występował bardzo często w sądach obywatelskich w sporach o ziemię.

W pierwszych dniach sierpnia odprawiliśmy wszyscy razem Manię do Parafianowa na nocny pociąg; wracała do Kijowa na dziesięć dni przed nami. Pociąg z Połocka wjeżdżał na stację z lasu. W odległości kilometra zabłyśły

w ciemności nocy światła parowozu. Jest to w podróży osobliwa chwila. Świat w nocy podlega w większym stopniu przyrodzie niż za dnia, kiedy w bieg jej spraw ingeruje człowiek. Pociąg w nocy, a w nim podróżni, ich sprawy i myśli przemierzają obce terytoria; przyjazd na stację to powrót do świata człowieka.

Przedział drugiej klasy (były wtedy wagony trzech klas, różniące się kolorami) był pusty. Wojtek i ja siedzieliśmy na kanapie obok panny Mani; milczeliśmy. Wskoczyliśmy z pociągu w biegu. Pożegnaliśmy z wielkim smutkiem nasze codzienne spacerunki, bukiety pełne kwiatów, wyprawy na poziomki; pożegnaliśmy rozmowy, w których słowa zachowują tchnienie nieśmiałego, młodzieńczego erotyzmu.

* * *

Wakacje 1913 roku spędziłem w Malinówce z naszą siostrą Janką; Wojtek miał kłopoty w szkole. Były to zupełnie inne wakacje niż poprzednie. Brakowało przedsiębiorczości i inicjatyw Wojtka. Nawet wizyty sąsiedzkie były rzadsze. Wujostwo gościli wtedy panią Zakrzewską z Wilna i kuzynkę, generałową Malinowską, powracającą z Francji do Petersburga. Pierwsza lubiła bardzo poezję Tetmajera, a druga – ubóstwiała polne kwiaty i łąki.

Dla m nie był to okres fascynacji astronomią i filozofią. Kiedyś przypadkowo pożyczyłem w bibliotece Flammariona. Był to popularny wykład astronomii; ukazał się w czasie, gdy świat interesował się kanałami na Marsie. Rozpocząłem namiętne czytanie dalszych książek z tej dziedziny. Otworzył się przede mną tajemniczy świat gwiazd. Wracam do astronomii co kilkanaście lat. Kosmos staje się coraz bardziej gigantyczny i zagadkowy. Dawne problemy zostają rozwiązane, powstają nowe, równie

niepokojące i tak samo zdumiewające jak wcześniejsze.

Droga do filozofii prowadziła przez jogę i teozofię; zapoznał mnie z nimi mój przyjaciel Zygmunt Łazowski. Przeczytane broszury wydały mi się naiwne, ale skłoniły do zapoznania się z filozofią europejską. Rozpocząłem czytanie Windelbanda.

W Malinówce byłem całkowicie pochłonięty Schopenhauerem. Pesymizm i estetyka tego autora były wtedy modne, zwłaszcza oddziaływały na umysły młodzieży. Czytałem jak dawniej w lesie, ale teksty i rozmyślenia filozoficzne nie wymagały ani podniety ani potwierdzenia od lasów, pól i nieba. Przeciwnie, izolowały od zniewalającego uroku przyrody, chroniły przed kontemplacją i biernością. Wtedy właśnie rozpoczął się okres chmurnej młodości, „gorzkiego dojrzewania”, okres poszukiwań, wątpliwości, nieufności do wszystkiego, co nie było smutkiem i negacją. Epilogiem tego okresu były tragiczne wydarzenia w dalekim syberyjskim mieście – Irbicie.

W tym roku zastaliśmy nową osobę w Malinówce – małą siostrzenicę wuja Marysię Malinowską. Ciocia Pawcia [żona wujka Antoniego] wzięła ją na wychowanie od jakichś dalekich krewnych. Była to jej odpowiedź na domysły, że byliśmy przez nią sprowadzeni jako przyszli sukcesorowie wuja Antosia. Niechęć do wszelkich spadków była cechą całej naszej rodziny. Ciocia Pawcia np. zrezygnowała z części Niewieran, która jej przypadła po śmierci pierwszego męża.

* * *

Wakacje w 1914 r. to wojna i pierwsza miłość. Przeżywałem ją w rytmach poezji Błoka i Balmonta, w nastrojach smutku i wzniosłości „Wiktorii”, „Misteriów”, „Cyrano de Bergeraca”. Nie każdemu dane było przeżyć pierwszą miłość

pod zorzami białych nocy, przy świetle leśnych ognisk, na szerokich rozlewiskach jezior, w „ciepluszkiach” ewakuacyjnych, nasłuchując echa zbliżającej się wojny.

W 1914 r. byliśmy na Litwie wszyscy troje: siostra, brat i ja. Przyjechaliśmy do Malinówki w dniu imienin wujaszka Antosia, 13 czerwca; zastaliśmy licznych gości, a między nimi Rosjanina, kierownika jednej ze szkół wileńskich – Hojko i jego córkę. Był on pedagogiem, entuzjastą oświaty. Córka Nina była uczennicą szkoły średniej; „gimnazistka” to w literaturze rosyjskiej uosobienie wdzięku i romantyzmu.

Wieczorem Nina, jej koleżanka Hela i my wybraliśmy się na spacer. Zaszło słońce, nastał półmrok białej nocy. Codzienne, znane okolice wydały się nam Polami Elizejskimi; rozmawialiśmy półgłosem i szliśmy powoli. Wkrótce przestaliśmy mówić. Droga przez zamglone łąki prowadziła w tę noc poza dotychczasowe istnienie; tam gdzie trwało milcząco, zamyślane szczęście.

Następnego dnia szedłem wieczorem śladami czekoladowych papierków, usiłując jeszcze raz przeżyć wczorajszy spacer. Po pewnym czasie samotne wieczorne spacerki oderwały się od wspomnień, ale zwyczaj przemieniania w godzinach, gdy zapalały się gwiazdy pól lub cichych ulic miejskich – pozostał.

W tym roku Hojkowie (rodzice, córka i ośmioletni syn) zamieszkali u młodszego Drozdowicza – Konstantego. Dzierżawił on majątek Dokszyce Śliwińskiego. Od Malinówki było to tylko 9 kilometrów i odwiedzaliśmy się często; wizyty trwały po parę dni. Były tam dwa piękne spacerki w kierunku wschodnim do pagórkowatego lasu, i zachodnim – łąkami, przez Berezynę tuż obok jej źródeł, i w górę – do Obarowa Szklenników. Spotkania nasze miały typowy dla

młodzieży charakter; spacer, przekomarżanie się, próby „mądrych rozmów”, dąsy. Sprawy Erosa nie były obce Wojtkowi, ale przeżywał on wielką miłość w Kijowie i wierny jej patrzył na nas pobłaźliwie.

W tych letnich miesiącach przeżyłem dwa doniosłe wydarzenia: o znaczeniu światowym – wojnę, i ściśle osobiste – pierwszy pocałunek.

Od dnia zabójstwa arcyksięcia w Sarajewie wiedzieliśmy, że sytuacja w Europie jest napięta; poprzednie sytuacje kryzysowe rozładowywały się; baliśmy się, że i tym razem tak będzie.

W dniu 2 sierpnia wczesnym wieczorem Nina, Wojtek i ja szliśmy łąką na spotkanie Janki, która była u Szklenników. Wschodził czerwony księżyc w pełni; nad nami przeleciał bocian, była zupełna cisza. Ujrzelśmy Jankę zbiegającą z parku i usłyszeliśmy jej wołanie: „wojna!”. Ta chwila pozostała w mej pamięci.

To drugie, osobiste przeżycie wstrząsnęło mną nie mniej niż pierwsze. Był to tylko pocałunek. W mglisty i wilgotny dzień lipcowy, goniąc w lesie uciekającą Ninę dopadłem ją, gdy siedziała obrażona na ściętym pniu. Prosiłem by wstała i chciałem ją do tego zmusić; w pewnej chwili przestałem dostrzegać, co się dookoła dzieje, widziałem tylko ją. Schyliłem się i pocałowałem jej usta dotykając wilgotnym policzkiem jej noska. Przeżyłem szok, widziałem, że kobiety czasem się całuje; nie przypuszczałem jednak, że może to spotkać mnie.

W 1915 roku byliśmy w Malinówce tylko Wojtek i ja. Trwała wojna, ale tu nic się nie zmieniło. Rodzina Hojków oraz jego siostra Anna z mężem zamieszkali tym razem we wsi Wiszniewo, nad samym jeziorem Serwecz, obok Usanowicz Drozdowiczów. Mąż Anny był malarzem z grupy wileńskiej, ona przesiąknięta Belmontem i akmeistami.

Spędziliśmy u Hojków wiele dni. Spaliśmy w olbrzymiej puni na sianie, kąpaliśmy się w jeziorze, całe dni na łodziach. Jezioro było bardzo duże z malowniczymi brzegami: zatoki, plaże, łąki, lesiste wzgórza, szuwały, wypływająca rzeka, ogromne płaszczyny wód, barwiące się w pogodnie dni kolorami tęczy.

Tym razem była tylko jedna dziewczyna i dwóch zakochanych chłopców. W ciągu minionego roku zmieniliśmy się; Nina wypiękniała, uwypukliły się jej sukienki na piersi; była już w siódmej klasie. Sytuacja ta prawie zupełnie odpowiadała Wojtkowi. Był on przejęty literaturą skandynawską, a tam nie było miłości bez dramatycznych lub tragicznych komplikacji. Jedyne co odbiegało od skandynawskiego wzoru to fakt, że Nina wyraźnie wołała mnie. Parokrotnie zapatrywała się w klucz od jednej z łódek i próbowała wykraść się ze mną nocą na jezioro. Lecz Wojtek był czujny; wracaliśmy późno; Nina przez okno do pokoiku, gdzie spała z bratem, a my do puni na siano.

Pewnego dnia płynęliśmy łodzią z gośćmi Hojków, młodymi mężczyznami. Był upał, Nina chciała koniecznie wykapać się. Zostawiliśmy ją na piaszczystym brzegu i – zgodnie z umową – mieliśmy płynąć w szuwały. Byłem na wiosłach, pozostali siedzieli tyłem do brzegu. Za żadne skarby nie spojrzalbym na brzeg. Nie przewidziałem jednak tego, że jadący będą bezwstydnie się odwracać; usiłowałem zatopić łódkę, ale była za ciężka.

Z wielu przeżytych szczęśliwych chwil i dni najżywszą w mojej pamięci jest wycieczka na Górę Worgańską. Niepokoiła mnie ona jeszcze w czasach niewieriańskich: daleka, tajemnicza w swojej mgle. Zebrało się większe towarzystwo i postanowiliśmy wejść na nią. Przełynęliśmy wzdłuż całe jezioro i po godzinie pieszej wędrówki przez pola

dojrzewającego żyta byliśmy u podnóża góry. Wysoka, zarośnięta schnącą trawą, krzewami, spowita zapachem cząbrów. Gęsto rozsiane głazy, z rzadka zapadnięte krzyże. Nie doznałem rozczarowania; taką była w moich marzeniach, świadek pradawnych czasów.

Już w sierpniu, na zakończenie dni nad jeziorem, wybraliśmy się do Usanowicz, aby na polanie rozpaść ognisko na cześć gospodarzy. Powrót zorganizowała Nina. Starsi poszli wcześniej. Nina powiedziała młodej ciotce, że ma iść z Wojtkiem, a ona ze mną. Ciotce to bardzo odpowiadało, a Wojtek nie mógł się wykręcić. Szliśmy obok siebie, ale kazała mi iść bliżej; zuchwale objąłem ją i poczułem pod dłonią jej piersi. Zsunęła niżej moją rękę, ale nie broniła swych warg. Te pocałunki miały mi wystarczyć na długo. Po wielu latach wymusiła na mnie pieśczoły pewna wytrwała kobieta, choć wiedziałem, że jako kaleka budzę odrazę.

Ostatnie wspomnienia tego lata: połowa sierpnia. Hojkowie od paru dni goszczą w Malinówce. Wracamy z nimi ze spaceru. Na spotkanie idzie wuj Antoś i woła z daleka: – Proponuję, abyście

wracali do domu. Konsternacja. Wujaszek wyjaśnia, że to był żart (dowcipy nie były jego mocną stroną); ale że nadeszła depesza, ażeby natychmiast wracali do Wilna, bo szkoła się ewakuuje.

Pociąg ewakuacyjny jedzie z Wilna w głąb Rosji przez Parafianów. Uprzedzeni o tym czekaliśmy na stacji. Tak odbyliśmy z nimi smutną podróż w ciepłuszcze. Wysiedliśmy w Połocku, Nina pojechała dalej. Był to ostatni dzień mojej prawdziwej młodości.

Z listów dowiedziałem się, że są w Nowogrodzie, i że Hojko jest kierownikiem jednej ze szkół. Postanowiłem jako podchorąży uzyskać skierowanie do zapasowego pułku w Nowogrodzie. Pierwszeństwo wyboru okręgu wojskowego i miasta mieli prymusi. Zostałem więc prymusem. Przed końcem kursu w podchorążówce kilku mieszkańców Nowogrodu natrętnie ponawiało swe prośby, abym zrezygnował z wyboru tego miasta, zwiększając ich szanse. Zrobiłem tak i do dziś nie mogę tego odżalować. Nadmiar ofiarności, równie jak nikczemności, sieje krzywdy.

Niny więcej nie widziałem. □

Kazimierz Pasenkiewicz we wspomnieniach

Kraków, 19 listopada 1980

Dziś wieczorem wizyta u Kazimierza Pasenkiewicza. Tematy w rozmowie najpierw te oczywiste: o dzisiejszej Polsce, z wielką nadzieją. Niepokoje pozostawały na drugim planie. Potem wspomnienia ze wspólnej, uniwersyteckiej przeszłości, a także jego własne, z pierwszych lat powojennych, kiedy był wojewodą

krakowskim. Później sięgnął pamięcią do Kijowa sprzed rewolucji, gdzie wówczas mieszkał i był oficerem w armii carskiej, do udziału w walkach legionowych, gdzie stracił nogę podczas działań frontowych. Fascynująca biografia dzielnego człowieka o jasnej, racjonalnej myśli i pięknym charakterze.

Marian Stępień, *Kartki z dziennika*,
Warszawa 2019, s. 174

Kilka tez dotyczących historii Polski Ludowej

– profesorowi Jerzemu Kornasiowi na Jego 70-lecie

Okres dziejów Polski zwany Polską Ludową, a obejmujący lata 1944-1989 (niektórzy nazywają go PRL, czyli Polską Rzeczpospolitą Ludową – choć nazwę tę, niezbyt zgrabną językowo i logicznie, wprowadziła dopiero Konstytucja z r. 1952), jest już zamknięty. Obchodzimy właśnie 75-lecie jego symbolicznego początku, wyznaczonego Manifestem Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, i 30-lecie jego zamknięcia kompromisem Okrągłego Stołu, oraz przełomowymi ustrojowo wyborami parlamentarnymi czerwca 1989 r.

Jest też okres Polski Ludowej w coraz pełniejszym stopniu przedmiotem badań i publikacji naukowych. Równocześnie obserwujemy coraz większy rozdział między nauką prawdą o Polsce Ludowej, a opiniami narzucanymi przez poprawność polityczną i politykę historyczną uprawianą przez dominujące ugrupowania polityczne i uzależniony od nich system edukacji i środków przekazu.

Ale przecież 40 lat Polski Ludowej pozostawiło naszej współczesności wiele trwałych wartości i spontanicznych odniesień. Mimo bowiem wyraźnych, o rewolucyjnym wręcz charakterze, różnic między Polską Ludową a poprzedzającym ją okresem państwa niepodległego (1918-1938), nazywanego II Rzeczpospolitą i formalnie kontynuującego ją Państwa Podziemnego z rządem na emigracji (1939-1945), a z drugiej strony okresem państwa odzyskanej po r. 1989 suwerenności (nazwanego oficjalnie w Konstytucji z r. 1997 III Rzeczpospolitą), istnieje między tymi okresami historyczna i pokoleniowa ciągłość.

Wydaje się, że nurt obiektywnych badań naukowych, a także publicystyki historycznej, nie ulegnie naciskowi politycznych i ideologicznych manipulacji czy medialnemu bełkotowi i dezinformacji. Trzeba jednak pamiętać, że największa w kształtowaniu powszechnej wiedzy i świadomości rola przypada systemowi szkolnemu, jego programom oraz merytorycznej jakości i moralnej odpowiedzialności kadry nauczycielskiej.

Pragnę podkreślić, że dorobek badań nad dziejami i zjawiskami Polski Ludowej, jej mechanizmami ustrojowymi, instytucjami, środowiskami i postaciami prowadzonymi od dziesięcioleci przez historyków takich jak Krystyna

Kerstenowa, Andrzej Werblan, Henryk Słabek czy Andrzej Paczkowski znalazł kontynuatora tak wybitnego jak Andrzej Friszke. Do swych znakomitych i wyczerpujących analiz oraz coraz pełniejszych syntez obrazujących działalność opozycji i władzy ostatnich dekad Polski Ludowej dodaje on biografie i opracowania wspomnień wybitnych postaci życia publicznego (w tym najwybitniejszych działaczy polskiego socjalizmu czasów II Rzeczypospolitej, wojny i emigracji) oraz wydawane we wzorowych opracowaniach dzienniki twórców kultury najaktywniej wmieszanych w życie polityczne Polski Ludowej (jak np. Jerzy Zawieyski czy Wiktor Woroszyński).

Mimo ograniczonego dostępu do archiwów Związku Radzieckiego, których waga dla zrozumienia historycznych dylematów Polskie Ludowej pozostaje wciąż ogromna, (choć nie decydująca) i mimo czasem ostentacyjnego braku polskiego zainteresowania dla wielkiej wagi badań prowadzonych przez historyków rosyjskich, dysponujemy coraz większą liczbą nieznanych dawniej dokumentów. Na ich czoło wysuwa się, jednak wciąż niedostatecznie zinterpretowany, prawie stenograficzny zapis rozmów Władysława Gomułki i Biura Politycznego KC PZPR z uczestnikami niezapowiedzianej delegacji KPZR z Nikitą Chruszczowem na czele, przybyłej do Warszawy w dniu historycznego VIII Plenum KC PZPR – 19.X. 1956 r. Zapis dokonany przez Jana Dzierżyńskiego.

Publikacją obrazującą dylematy rozwojowe Polski Ludowej, inspirującą twórcze o niej rozważania i ujawniającą wiele faktów i mechanizmów politycznych stała się również rozmowa między wybitnymi historykami a równocześnie działaczami politycznymi – Andrzejem Werblanem i Karolem Modzelewskim, moderowana przez Roberta Walencia i opublikowana w postaci książki pt. „Polska Ludowa”.

Wartością podstawową, trudną do przecenienia, okazują się też dzieła z zakresu historiozofii, historii idei, historii politycznej i społecznej oraz dziedzin pokrewnych, pióra humanistów światowej miary jak Andrzej Walicki, Zygmunt Bauman, Jerzy Szacki, Jerzy J. Wiatr, czy eseistyka historiozoficzna uprawiana przez intelektualistów tej rangi co Bronisław Łagowski, Jan Widacki, Ludwik Stomma, Marcin Król czy Marcin Kula, a także zbiorowe wydania twórczości wybitnych myślicieli czy działaczy czasów Polski Ludowej, jak np. Stanisława Stommy.

Publikowane także w ostatnich latach rozprawy historyków młodego pokolenia dają nadzieję na dalszy rozwój obiektywnej wiedzy o Polsce Ludowej, w tym o skomplikowanym rozwoju jej ugrupowań politycznych, z Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą jako partią hegemoniczną. Myślę tu o ogromnych nieraz rozmiarów rozprawach autorstwa Roberta Spałka, Mirosława Szumiły, Barbary Sobol-Świdorskiej, Mirosława Gaszolda i innych naukowców młodego pokolenia, w tym szczególnie ze szkoły Jerzego Eislera.

Jednak coraz więcej rozpraw z różnych dziedzin historii okazuje się wynikiem badań i rozważań nieobciążonych skazą środowiskowej czy życiorysowej tendencyjności. Jako najwybitniejsze dla tej tematyki dzieło naukowe ostatnich lat chciałbym wskazać monumentalną rozprawę antropolożki Joanny Tokarskiej-Bakir pt. „Pod kłatwą. Społeczny portret pogromu kieleckiego”, będącą w gruncie rzeczy najpełniejszym portretem powojennego społeczeństwa polskiego narysowanego z każdej strony politycznej barykady, jego moralnego spustoszenia i materialnej nędzy. Przejmująca prawda ukazana w tej książce wręcz uniemożliwia dalszą eksploatację mitów tworzonych przez nacjonalistyczną prawicę wokół kieleckiego pogromu.

Narzucane po kompromisie Okrągłego Stołu przez zwycięski w wyborach 1989 r. i ciągnący obecnie ku radykalnej prawicy system polityczny czy normy poprawności politycznej odbijają się nieraz także na niektórych nawet najwybitniejszych pracach z historii politycznej i społecznej, w tym i historii kultury. Jako przykład wymienię choćby tak wartościową i odkrywczą pracę z zakresu historii społecznej, ale także społecznej socjologii i psychologii, autorstwa



Marcina Zaremby, pt. „Wielka trwoga. Polska 1944-47”. W książce tej ukazującej trwogę i strach jako ważne komponenty życia człowieka i środowisk w pierwszych, powojennych latach Polski Ludowej, wszystko co ten strach potęguje zdaje się wynikiem działań nowej władzy, to zaś co jest przejawem jego zanikania na rzecz społecznego spokoju i zaufania, wypływa samo z siebie. Autor, skądinąd ogromnie solidny, nie zauważa też głębokich różnic programów i społecznego oddziaływania Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej, w bibliografii nie odwołuje się też do wybitnych prac Andrzeja Walickiego i Andrzeja Werblana czy Jacka Chrobaczyńskiego, bardzo dla omawianego zagadnienia ważnych.

Szczególnie jednak zastanawiać musi poważna luka w badaniach historii politycznej Polski Ludowej, która dotyczy Polskiej Partii Socjalistycznej i jej różnych nurtów, wywodzących się z Polskiego Państwa Podziemnego i emigracji. Brak tych badań sprzyja powierzchowności sądów i ocen dotyczących wpływu PPS i jej tradycji na rozstrzygnięcie dylematów politycznych Polski Ludowej. A wpływ ten wydawał mi się zasadniczy i trwały, zwłaszcza w niektórych regionach Polski (np. takich jak Kraków) – nawet po wchłonięciu PPS przez populistyczno-komunistyczny nurt Polskiej Partii Robotniczej. Kilka

pionierskich prac popularno-naukowych (jak np. Eleonory i Bronisława Syzdeków: „Cyrankiewicz. Zanim zostanie zapomniany”) i publicystycznych (jak np. Piotra Lipińskiego: „Cyrankiewicz. Wieczny premier”) daje tylko bardziej lub mniej udane próby zarysu formacji socjalistycznej. A przecież odegrała ona ogromną rolę w odzyskiwaniu przez Polskę niepodległości – i to zarówno w roku 1918 jak i w roku 1944, a także w kształtowaniu w Polsce Ludowej nowych stosunków społecznych, wprowadzaniu głębokich zmian i reform w sposobach zarządzania gospodarką, w kształtowaniu systemu oświaty i nauki, a przede wszystkim kultury.

* * *

Punktem wyjścia dla określenia warunków i przesłanek powstania i rozwoju Polski Ludowej są wydarzenia i skutki II wojny światowej. Zapoczątkowała ją zupełna klęska wojenna osamotnionego państwa polskiego i jego rozbiór w roku 1939 przez Niemcy i Związek Radziecki, oraz od roku 1941 aż do roku 1944 trwająca okupacja całego przedwojennego terytorium Polski przez Niemcy.

Jednak polskie władze państwowe nie podjęły ani żadnej decyzji o kapitulacji wojennej, ani żadnej formy kolaboracji z okupantem. Państwo polskie zachowało natomiast ciągłość ustrojową i wysiłku wojennego w formie rządu na emigracji i aktywności jego sił zbrojnych, powiązane umowami międzynarodowymi z państwami koalicji antyfaszystowskiej. Historyczną przy tym decyzją było podpisanie przez premiera polskiego rządu na emigracji, generała Władysława Sikorskiego w lipcu 1940 roku, „Układu ze Związkiem Radzieckim o wspólnej walce przeciwko Trzeciej Rzeszy”.

Ludobójcza okupacja i działania wojenne zakończyły się w ciągu niecałych 6 lat wojny śmiercią ok. 6 mln polskich

obywateli, w tym blisko 3 mln pochodzenia żydowskiego (co stanowiło ok. 90% żydowskiej ludności Polski). Zniszczeniu uległa znaczna część narodowej gospodarki i infrastruktury oraz dorobku kulturalnego. Największe straty ludzkie poniosły środowiska inteligenckie.

Konsekwencją wojny był stan społecznej frustracji – zawiedzenia powszechnych nadziei (skądinąd bardzo słabo uzasadnionych) na skuteczną pomoc zachodnich aliantów, stan ogromnej demoralizacji banalnością śmierci i powszechną nędzą bytowania. Szczególne rozczarowanie budziła rosnąca nieskuteczność międzynarodowej polityki emigracyjnego rządu, niezdolnej do zharmonizowania narodowego interesu Polski z interesem i polityką zwycięskich mocarstw alianckich i z ich kompromisami wzajemnymi. W konsekwencji do uznania powojennego porządku europejskiego i nowych granic państwowych podyktowanych właśnie przez kompromis zwycięskich mocarstw (Stanów Zjednoczonych, Związku Radzieckiego i Anglii), przy wręcz prowokacyjnym wobec niego sprzeciwie polskiego rządu emigracyjnego.

Niewątpliwie też w społeczeństwie polskim, zwłaszcza od roku 1943, rosło przekonanie o konieczności głębokich zmian społeczno-ustrojowych wobec stanu sprzed wojny (to znaczy radykalnej reformy rolnej, nacjonalizacji wielkiego, należącego do obcego kapitału przemysłu, egalitaryzacji praw i obyczajów oraz społeczno-kulturalnego awansu mas ludowych).

* * *

Ale idea radykalnych przeobrażeń społecznych, zapoczątkowanych wraz z odzyskiwaniem niepodległości państwowej, przybierała postać realną dopiero od początku 1943 r. Wówczas to powstała partia polityczna przyniesiona formalnie z inicjatywy Międzynarodówki

Komunistycznej w Moskwie. Partia ta przyjęła nazwę Polskiej Partii Robotniczej. Nazwa ta miała ją odróżnić od rozwiązanej w r. 1938 i fizycznie zdziesiątkowanej w katowniach NKWD Komunistycznej Partii Polski. Decyzje i prace przygotowawcze do powołania PPR prowadzono pod osobistym nadzorem Stalina w ramach jego gry sprawą polską z zachodnimi aliantami. Ciężyla na niej również zbrodnia zabójstwa ponad 20 tysięcy polskich jeńców wojennych i urzędników państwowych w r. 1940 i chęć jej ukrywania również przez zachodnich sojuszników Związku Radzieckiego.

Jednak zarówno resztki ocalałego aktywu komunistycznego, organizującego się w Związku Radzieckim, jak i grupa działaczy niezwiązanych w przeszłości z KPP, a przede wszystkim wyrosły w walce podziemnej w Polsce aktywi nowej partii uznawał zadanie odbudowy kraju i jego substancji społecznej oraz jego znaczenia w przestrzeni europejskiej, równocześnie z zadaniem głębokich ustrojowych przeobrażeń demokratycznych, za najważniejsze w ciągu pierwszych lat powojennych.

* * *

Uznanie przez zwycięskich zachodnich aliantów sowieckich wpływów w przestrzeni europejskiej (w granicach zwycięskiego marszu Armii Czerwonej) i przynależności do tej strefy Polski spowodowało, że ugrupowaniem politycznym jedynie zdolnym do skutecznego ujęcia i sprawowania władzy mogło być tylko to, które mogło korzystać z obecności pomocy sowieckich struktur przemocy. Budowanie jego programu, wobec nikłości społecznych wpływów komunizmu w polskim społeczeństwie, wymagało też co najmniej formalnego porozumienia się z krajowymi ugrupowaniami socjalistycznymi i ludowymi.

wyników referendum ustrojowego w r. 1946 i wyborów do Sejmu w r. 1947.

Już pod koniec r. 1947 Stalin uznał, że powojenne próby znalezienia porozumienia ze Stanami Zjednoczonymi i Anglią i wykorzystaniu go dla podniesienia Związku Radzieckiego z olbrzymich wojennych zniszczeń, ale przy utrzymaniu osiągniętej w wyniku zwycięstwa wojennego strefy międzynarodowej dominacji, stają się niemożliwe. Należy się przygotować do polityki obłężonego obozu i do konfliktu, jeśli nie wojennego to co najmniej zimnowojennego.

W kwietniu r. 1948 na biurku Stalina leżała już notatka oceniająca politykę Gomułki jako prawicowe i nacjonalistyczne odstępstwo od doktryny komunizmu i postulująca konieczność zdyscyplinowania całego obozu sowieckiej dominacji. Po drugiej połowie r. 1948 nastąpiła w PPR personalna rozprawa z Gomułką i zwolennikami polskiej drogi do socjalizmu, przeprowadzona przez bezwzględnie posłuszne Stalinowi ugrupowanie w kierownictwie PPR i w strukturach dysponujących aparatem przemocy. Nasiliły się przejawy terroru policyjno-sądowego i agresji ideologicznej. Sowiecki wzorzec ustrojowy i kulturowy stawał się ostentacyjnie obowiązujący i upokarzający narodowe poczucie Polaków.

Świadomość braku demokratycznej legitymizacji ciążyła zresztą na władzy Polski Ludowej aż do jej historycznego końca, mimo że niektóre ustrojowe próby budowania zaufania między władzą i społeczeństwem przynosiły okresowe wyniki. Największa pod tym względem pozytywna dla władzy przemiana nastąpiła w latach 1955-1958, w niewątpliwym związku z kryzysem stalinizmu w ZSRR (rozpoczętym ze śmiercią dyktatora). Powrót Władysława Gomułki do władzy w październiku 1956 związany z głęboką liberalizacją systemu

i odnowieniem koncepcji polskiej drogi do socjalizmu zatrzymał się jednak na granicy pluralizmu parlamentarnego. Główną, ale nie jedyną tego przyczyną, było brutalne zgniecenie przez już postalinowski Związek Radziecki antysowieckiego i antykomunistycznego powstania na Węgrzech.

Dla PZPR oznaczało to zarazem stopniową rezygnację z poszukiwania demokratycznych wartości i zasad także w życiu wewnętrznym partii hegemonu. Ideologiczny i moralny kryzys w partii i systemie państwowym sprowadzał porozumienie między władzą a społeczeństwem coraz bardziej do gwarancji poprawy bytu materialnego, przy czym wobec coraz silniejszego otwarcia Polski na Zachód kryterium dobrobytu stawał się zachodni poziom i charakter konsumpcji.

Chroniczna niewydolność nakazowo-rozdziałczego systemu gospodarczego, przy obciążeniu gospodarki militarnymi świadczeniami na rzecz całego bloku radzieckiego, uniemożliwiające realizację planów wyraźniejszego podniesienia stopy życiowej społeczeństwa, pogłębiała frustracje wszystkich środowisk; a ograniczanie trendu liberalizacyjnego przeszkadzało w porozumieniu z inteligencją.

Katastrofalną w sensie moralno-ideowym okazała się próba sięgnięcia po hasła nacjonalistyczne i ksenofobiczne dla zdobycia ludowego poparcia, szczególnie wyraźna w r.1968, a także udział Wojska Polskiego w zbrojnej interwencji Związku Radzieckiego i innych państw obozu w tłumieniu niezależnej drogi, którą wybrała Komunistyczna Partia Czechosłowacji.

Bunt polskiej klasy robotniczej doprowadził w r. 1970 do upadku rządów Władysława Gomułki, ale przyniósł nowy kredyt zaufania dla technokratyczno-pragmatycznej grupy Edwarda Gierka.

Jego polityka koncentracji na poprawianiu warunków bytowych społeczeństwa i łagodzeniu konfliktów (m.in. ideologiczno-politycznego konfliktu z Kościołem) przyniosła w pierwszym pięcioleciu wyraźne rezultaty. Sprzyjało im dalsze otwarcie na Zachód i szansa pozyskania znacznych kredytów w warunkach światowej koniunktury gospodarczej. Ale jej załamanie w połowie lat 70. i niezdolność systemowa do głębokiej reformy społeczno-gospodarczej spowodowały nową falę społecznej frustracji, prowadzącą do konfliktu społeczeństwa z władzą; aż do powstania zorganizowanej i trwałej opozycji politycznej.

Cechą dominującą dekady gierkowskiej było jednak ciągle poszukiwanie kompromisu ze wszystkimi środowiskami społecznymi – robotniczymi, rolniczymi i inteligenckimi, unikanie stosowania na większą skalę politycznej represji. Również w polityce międzynarodowej jakkolwiek polska racja stanu wymagała nienaruszania geopolitycznych więzi, a więc i uzależnień od Związku Radzieckiego i od zasady jedności obozu, to przecież skutecznie choć pokrętnie poszukiwano więzi gospodarczych i politycznych kompromisów z Zachodem.

Następuje rozwój struktur antysystemowej opozycji, która nazwała się demagogicznie opozycją antykomunistyczną, przybierających postać niezależnego związku zawodowego – robotniczego i inteligenckiego – sięgającego również do środowisk rolników, a popieranego przez Kościół. Opozycja odwołując się do autorytetu i wręcz mitu papieża Polaka, a zarazem wspierana materialnie i logistycznie przez zachodnie ośrodki związków zawodowych (ale i struktury wywiadowcze i organy medialne) doprowadziła do stanu, w którym musiała nastąpić albo zbrojna interwencja państw obozu radzieckiego (na gruncie doktryny



Breżniewa), albo porozumienie z władzą, czyli szczególnego rodzaju nieznanego w historii państw socjalistycznych kompromisu.

Wewnątrz PZPR szczególnemu wzmocnieniu uległ istniejący w niej zawsze, ale zwalczany oficjalnie nurt socjaldemokratyczno-rewizjonistyczny, wyraźny w środowiskach partyjnej inteligencji, a wspierany w sposób rozważny w publicystyce uprawianej przez cieszącą się ogromną popularnością tygodnik „Polityka”, kierowany przez Mieczysława Rakowskiego.

Jednakże poziom frustracji w wielu środowiskach twórczych i przejawiany przez wiele dawniej zbliżonych do partii indywidualności nie dopuszczał już do politycznych kompromisów. Strach przed utratą władzy ze strony dużej części aparatu partii i państwa, jego struktur przemocy, także utrudniał inicjatywy porozumienia.

Nowe kierownictwo partii ze Stanisławem Kanią podjęło próbę wyjścia z kryzysu przez zwołanie zjazdu i wypracowanie nowego programu legalizującego ustrojową obecność opozycji. Jednakże gwałtownie narastająca nieufność do władzy i rewolucyjny nastrój w szeregach opozycji i w jej głównej wielomilionowej bazie – niezależnym związku zawodowym – czyniły kompromis niemożliwym.

Równocześnie nowe po śmierci prymasa Stefana Wyszyńskiego (skłonnego do uznawania polskiej racji stanu i jej międzynarodowych uwarunkowań)



kierownictwo Kościoła katolickiego nie znalazło dość siły, aby zagwarantować kompromis. Niewątpliwie decydująca dla polskiego Kościoła polityka Watykanu i papieża Polaka, zmierzająca do podtrzymywania każdej szansy obalenia komunizmu w skali światowej, ale i niedopuszczenia do sowieckiej interwencji oraz do rozlewu krwi w Polsce, również okazała się nieskuteczna.

W tej sytuacji jedynym sposobem uniknięcia katastrofy i znalezieniu kompromisu w perspektywie kilkuletniej wydawało się – po stronie władzy państwowej – wprowadzenie stanu wojennego. Tę decyzję z wszystkimi konsekwencjami wziął na siebie gen. Wojciech Jaruzelski i podporządkowane mu struktury zmilitaryzowane. Oznaczało to zarazem koniec doktryny kierowniczej roli partii oraz formalnie gwarantowanych przez nią zasad i wartości.

Uniknięto w ten sposób zagrożenia zbrojną interwencją Związku Radzieckiego i pozostałych sąsiadów Polski, ale nie udało się znaleźć społecznego porozumienia i wyjścia z długotrwałego kryzysu gospodarczego. Udało się natomiast

przygotować rozdarte i zmęczone społeczeństwo do kompromisu. Stało się to naprawdę możliwe dzięki zmianom w polityce Związku Radzieckiego, którego nowy (po śmierci poprzedników) przywódca Michaił Gorbaczow szukał możliwości wyjścia Związku Radzieckiego z katastrofy gospodarczej i moralnej w rezygnacji z polityki imperialnej, w dopuszczeniu do zjednoczenia Niemiec, uznaniu militarnej przewagi Stanów Zjednoczonych i zaproponowaniu światowego rozbrojenia.

Trzeba też pamiętać, że wartością szczególną, której służyły wszystkie rządy Polski Ludowej, było kluczowe dla polskiej racji stanu, dla wręcz istnienia państwa polskiego i jego bezpiecznej przyszłości utrwalenie takich stosunków międzynarodowych i relacji z sąsiadami, które gwarantowały nienaruszalność powojennych granic i wygaszanie rewizjonistycznych wobec nich tendencji. W tych sprawach również zdolność władzy i społeczeństwa do wygaszenia polskich mitów i nacjonalistycznych pretensji.

W nowych warunkach geopolitycznych końca lat osiemdziesiątych XX w. władza, której liderami stali się Wojciech Jaruzelski i Mieczysław F. Rakowski, zaproponowała opozycji z jej liderem Lechem Wałęsą polityczny kompromis Okrągłego Stołu. Jego konsekwencją były wybory czerwca r. 1989 i przejście całości władzy, choć już z naruszeniem tego kompromisu, przez Solidarnościową opozycję.

W ten sposób pod koniec r. 1989 zamknęła swe formalne istnienie Polska Rzeczpospolita Ludowa, a Konstytucja z r. 1997 ustanowiła III Rzeczpospolitą. Jej dzieje dalekie są jednak od leżących u jej podstaw założeń programowych i nie zakończyły frustracyjnych doświadczeń polskiego społeczeństwa. □

MIECZYŚLAW JAKUBIEC

W oczekiwaniu na normalizację

Od wielu lat z umiarkowaną – rzec by można – ciekawością śledzę sytuację polityczną na Ukrainie. Oczywiście interesują mnie głównie sąsiedzkie relacje polsko – ukraińskie. Są one zmienne niczym pogoda. Trudno o trafne prognozy na dłuższą metę. Nawet i te doraźne nie zawsze się sprawdzają. Obie strony lokują bowiem swe nadzieje „na lepsze” w patowym – niestety – kontekście historycznym. Pozornie wydawać się by się mogło, że gdyby po obu stronach stołu zasiedli sami Normanie Daviesowie, prawda historyczna wybrzmiałaby zgodnie. Ale N. Davis ma żonę Polkę, a ona ma liczną zapewne polską rodzinę. Nie wspomnę o doktoracie Pana Normana uzyskanym na Uniwersytecie Jagiellońskim. Oczywiście pozwoliłem sobie na ryzykowny żart, ale Pan Davis, który latami zgłębiał istotę słowiańskiej natury, zapewne wie co mam na myśli.

Historia stosunków polsko-ukraińskich jest zarówno dla przeciętnego Polaka jak i Ukrainca mało znana, żeby nie powiedzieć: prawie zupełnie nieznaną. Podręczniki historii, jeśli już o nich mowa, milczały na „te tematy” w kraju do 1989 r., a opracowania emigracyjne z trudem przenikały do kraju jednego i drugiego. Gdy wreszcie zaczęto pisać „otwartym tekstem” o problematyce polsko-ukraińskiej, okazało się, że nawet historykom nie można ufać, bo zadziałała tu i działa nadal zasada, iż „punkt widzenia zależy od punktu siedzenia”. Opisy tych samych faktów różnią się zasadniczo (szczególnie tych kłopotliwych dla referentów), bohaterowie jednej nacji są jednocześnie poważnymi przestępcami w ocenie drugiej strony, itd. itd. Wiele relacji obu ipseńców mija się jak na przysłowiowej autostradzie; podejmuje się np. próby symetryzacji działań nieporównywalnych w świetle

dowodów. Pisałem już kiedyś – w Forum nr 73/2017 – o poglądach Wołodymira Wiatrowycza (dotychczasowego dyrektora ukraińskiego IPN), czy o wcześniejszych próbach Włodzimierza Mokrego (pracownika naukowego UJ) ulokowania stosunków polsko-ukraińskich w „szerszym kontekście historycznym”. Dla nich szerszy kontekst historyczny to głównie okres II Rzeczypospolitej, który rzeczywiście charakteryzował się ograniczonością swobód narodowościowych w stosunku do mniejszości narodowych, które stanowiły 35 do 40% populacji kraju. Polska za endecką ofertę: spolszczenie albo emigracja, zapłaciła utratą ziem zabużańskich po 1945 r., których mieszkańcy nie wystąpili w obronie przynależności do państwa polskiego. Ale...

Ale dla mnie w „szerszym kontekście historycznym” należałoby ulokować wczesny nacjonalizm ukraiński, jego prekursorów, ich propozycje programowe, rodzące się struktury organizacyjne i składy personalne tychże struktur. Rzeź wołyńska nie była – jak chcą niektórzy – nagłym zrywem, powstaniem ukraińskim, czy wręcz wojną polsko-ukraińską. Była zbrojną akcją, która w planach nacjonalistycznych kręgów ukraińskich dojrzała latami jako element realizacyjny idei Wielkiej Ukrainy, obejmującej m.in. obszar Wołynia, wschodniej Małopolski, a nawet i „nieco dalej” na zachód. Ukrainy wolnej od Polaków, Żydów i Ormian. To przecież credo nacjonalizmu integralnego Dmytro Doncowa czy Mykoły Michnowskyja (-ego), oraz kolejnych propagatorów hasła „Ukraina dla Ukraińców”, że wspomnę Jewhena Konowalca, Stepana Banderę czy Romana Szuchewycza. Nieprzypadkowo wymieniam te właśnie nazwiska, zwłaszcza dwa ostatnie.

R. Szuchewyczowi przypisuje się bezpośrednią odpowiedzialność za zaakceptowanie rzezi wołyńskiej i przeprowadzenie ludobójczej czystki etnicznej na polskiej ludności cywilnej. Jego „dobrego imienia” broni do dziś jego syn Jurij prześladowany od dziecka przez NKWD, więzień polityczny Rosji sowieckiej, obecnie czynny działacz polityczny, poseł do przedostatniej Rady Najwyższej Ukrainy. Prezentuje szokujące dla Polaków, nie do przyjęcia opinie, czemu dał wyraz m. in. w jednym z wywiadów dla Gazety Wyborczej (ku osłupieniu red. naczelnego A. Michnika).

Przejdźmy do osoby Stepana Bandery. Bohater narodowy Ukraińców. Dla Polaków – polakożerca, współsprawca antypolskiej czystki etnicznej na Wołyniu i we wschodniej Małopolsce. Cofnijmy się do 13 stycznia 1936 r., gdy sąd okręgowy w Warszawie w procesie o zabójstwo ministra B. Pierackiego skazał jako współorganizatora zamachu, wśród innych przywódców i członków Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, właśnie Stepana Bandere; i to na karę śmierci, zamienioną na dożywotnie więzienie po amnestii. Ówczesny publicysta M. Pruszyński w skonfiskowanym zresztą artykule w wileńskim „Słowie” pisał, że moralna odpowiedzialność za zabójstwo Pierackiego spada również na władze polskie, a to za brak rozwiązań problemu ukraińskiego w Polsce.

S. Bandera, syn grekokatolickiego proboszcza, studiował m.in. na Politechnice Lwowskiej; wcześniej związał się z ukraińską, nielegalną w Polsce organizacją wojskową UWG oraz OUN. Szybko awansował w hierarchii organizacji i był inicjatorem i zwolennikiem akcji terrorystycznych w stosunku do stronników porozumienia polsko-ukraińskiego (przykładem zabójstwo Iwana Babija – pedagoga ukraińskiego). Zwolniony z więzienia w Brześciu we wrześniu 1939 r. natychmiast nawiązał kontakt ze swoją organizacją i kontynuował działalność polityczną i wojskową. Jego stała kolaboracja z okupacyjnymi władzami niemieckimi,

„taktyczna”, jak tłumaczą dziś jego apologety, miała doprowadzić do reaktywacji jakiejś realnej formy ukraińskiej państwowości. Zawiódł go Hitler, gdyż miał inne, globalne plany wobec Słowian. Jego – tzn. Bandery – radykalny odłam OUN-u zwany tradycyjnie OUN-B, głównego wroga widział w ZSRR, ale w bliższej perspektywie byli to Polacy i Żydzi. Przecież Ukraińcy po wkroczeniu Niemiec w 1941 r. do Lwowa bez wahania wzięli udział w tymże roku we lwowskim pogromie Żydów. W innych miejscowościach – też.

Bandera, traktowany instrumentalnie przez władze hitlerowskie, podobnie jak i inni nacjonaliści ukraińscy, skończył swą okupacyjną „karierę” w obozie w Sachsenhausen (choć do końca jako uprzywilejowany więzień polityczny), skąd został przez Niemców zwolniony (we wrześniu 1944) i zamieszkał w Monachium. Znowu stał się przydatny propagandowo, tym razem w „zimnej wojnie” jako zagorzały wróg sowieckiej Rosji. Zginął zresztą w zaplanowanym zamachu z rąk skrytobójcy KGB. Jego rodzina również doświadczyła z jego powodu prześladowań. Bracia zginęli w Auschwitz, ojciec w więzieniu w Kijowie, siostry zostały zesłane na Syberię. Przeżył jego jedyny syn oraz wnuk w Kanadzie, którzy w 2010 r. odebrali z rąk prezydenta Juszczunki Order Państwa, nadany dekretem pośmiertnie dziadkowi Stepanowi wraz z tytułem bohatera Ukrainy. Opinia światowa ostro i gwałtownie sprzeciwiła się temu nadaniu i sąd administracyjny w Doniecku uchylił dekret prezydencki Juszczunki; uzasadniając to faktem, że S. Bandera był formalnie obywatelem Polski i wobec tego jako „nie Ukraińiec” nie spełnia dekretowego kryterium obywatelstwa Ukrainy. Iście salomonowe uzasadnienie.

Literatury na temat nacjonalistów ukraińskich i samego S. Bandery mamy morze. Jest to tematyka traktowana bardzo – rzekłbym – dynamicznie. Mam na myśli jej elementy w programach aktualnych partii i ugrupowań politycznych Ukrainy.

Śledząc ostatnią przedwyborczą kampanię prezydencką i parlamentarną, a następnie wyniki tychże wyborów i skład nowego ukraińskiego rządu, żywię umiarkowaną (jak rzekłem na wstępie) nadzieję, że znów zaistniała szansa realnej normalizacji stosunków polsko-ukraińskich. Wydają się być one ważne dla nowego prezydenta Ukrainy Wołodymira Zelenskigo. Ma on na myśli głównie kontakty gospodarcze, energetyczne i współpracę polityczną na szczeblu rządowym. Jeśli chodzi o drażliwe sprawy nie tak odległej historii obu narodów, wypowie się po eksperckich opiniach zaufanych doradców. Poczekamy, zobaczymy. Biuro prezydenta Zelenskigo zwróciło się o konsultacje do szefa ukraińskiego IPN W. Wiatrowycza w kwestiach historycznych, ale jest to osoba – jak widać z doświadczeń ostatnich lat – która raczej była żywą przeszkodą w dialogu historycznym. Dążyć należałoby, aby obie strony zaprzestały „symetrycznych” reakcji, a szukały kompromisowych rozwiązań; tam gdzie to jest możliwe i oczekiwane. Obserwatorzy oczekiwali, że w Warszawie, w trakcie obchodów 80 rocznicy napaści Niemiec na Polskę, dojdzie do pierwszych wzajemnych deklaracji, może w obecności prezydenta USA Trumpa. Jednakowoż huragan Dorian „pomógł” Trumpowi uniknąć wnikania się w sprawy Ukrainy, czy też innych wypowiedzi oczekiwanych ewentualnie przez Polskę, które mogłyby urazić Putina. I prezydent Duda i prezydent Zełenski uderzyli więc niejako sami w ten dzwon przestrogi i nadziei. Oby był również zapowiedzią konstruktywnego dialogu polsko-ukraińskiego.

W jednej z ostatnich wypowiedzi były polski premier Leszek Miller stwierdził: „Jeśli chodzi o Ukrainę, to musimy ją wspierać, ale gdy mamy do czynienia z ofensywą ukraińskiego nacjonalizmu i banderyzmu, to Europa nie powinna przymykać oczu.” Dodałbym: „i nie powinna milczeć”, bo w życiu politycznym i społecznym Ukrainy funkcjonuje

legalnie szereg organizacji i partii politycznych, które otwarcie nawiązują do tradycji nacjonalistycznych, uważając m.in. Stepana Banderego za swego patrona w walce z sowietyzmem i komunizmem. Co więcej: nie zapomina się o istnieniu takich formacji z czasów wojny jak batalion Nachtigall i Roland czy Dywizja SS Galizien. Na terenach zachodniej Ukrainy stoją setki pomników ku czci Stepana Bandery i dowódców UPA. Dziesiątki ulic nosi jego imię, a także Szukewycza czy Konowalca.

Ostatnie wybory parlamentarne na Ukrainie – w lipcu br. – przyniosły bezwzględną większość prezydenckiej partii „Sługa Ludu” – rzeczniczki demokracji bezpośredniej, która zdobyła ponad 43% głosów. Partie, które znalazły się na dalszych pozycjach, z trudem przekraczały próg wyborczy. Dotkliwą porażkę wyborczą poniosły takie partie jak eurosceptyczna, prorosyjska partia „Opozycyjna Platforma – Za Życie”, nacjonalistyczna partia „Batkiwszczyna”, centroprawicowa partia „Głos”, ugrupowanie nacjonalistyczne „Partia Radykalna Ołeha Laszki”, czy nacjonalistyczne „Ogólnoukraińskie Zjednoczenie Swoboda”. Ta ostatnia partia optuje właśnie za ustawowym uznaniem weteranów UPA. Jak potoczy się życie parlamentarne Ukrainy w najbliższym czasie? Zobaczymy. Póki co, Zełenski odniósł spektakularny (?) sukces, doprowadzając do wymiany więźniów politycznych z Rosją. Równie dobrze można ten sukces przypisać Putinowi, że raczył się wymienić. Uważa się, że następną sprawą do rozstrzygnięcia będzie problem samozwańczych republik prorosyjskich, bo o Krymie nie ma co marzyć. □

P.s.

Stepan Bandera wielokrotnie był w Krakowie. Wziął tu nawet ślub z Jarosławą Opariwską w Cerkwi Podwyższenia Krzyża Świętego w 1940 r. W czasie okupacji działacze OUN-u często spotykali się w Krakowie. Widocznie Kraków wydawał się „bezpiecznym miastem”. Taka spokojna miejscowość...

Pierwszą powieścią Staszka Franczaka był autobiograficzny „Czerwony scyzoryk”. Miałem tę przyjemność, że na prośbę Autora zaprojektowałem okładkę i wykonałem wewnętrzne grafiki.

Muszę przyznać, że pierwsza lektura tekstu poruszyła mnie w sposób szczególny. Dlaczego? Po pierwsze Staszкови udało się trudna sztuka stworzenia tekstu, gdzie narratorem jest dziecko, potem chłopak podrosteek. Widać było z każdego zdania, z każdego rozdziału siłę prawdy zawartą we wspomnieniach Autora. Ile z tej narracji było prawdą, a ile fikcją literacką – tego się nigdy nie dowiemy. Myślę jednak, że klimat tekstu, rodzaj emocji, tło, na którym działy się opowiadania, były ze wszech miar prawdziwe. Tragiczne i biedne dzieciństwo, mozolne zmaganie się z podłością ludzi i życia nie zdusiły fascynacji magią przyrody beskidzkiej. Przyrodę umiał Staszek czytać jak rzadko kto. Spodziewał się, że będzie podstępna, ale był także pewien, że jest magiczna, nie dla wszystkich zrozumiała.

I tak jest w tym fragmencie tekstu, tak w osobowości Stanisława Franczaka nakładały się na siebie twarde poczucie rzeczywistości, magia dnia codziennego, niezwykłości natury Działu Makowskiego i Koskowej. To wszystko można opowiedzieć albo polszczyzną literacką, albo gwarą z jej swobodnym pięknem. Ale ta trudna sztuka dana była nielicznym tylko, wśród których był Staszek.

Piotr Augustynek

STANISŁAW FRANCAK

PRAWDZIWA OPOWIEŚĆ GŁUPIEGO JĘDRZEJA

Jakiegoś dnia zawita do nas głupi Jędrzej, wszyscy go znali, bo chodził po wsi i każdemu opowiada jak to był w piekle i niebie. Dzieciska latały za nim, jak go tylko uwidziały, bo zawsze były ciekawe, co tam też nowego doda do tych swoich bajań, a może i czasem sypnie cukierkami.

- No, Jendrek, jagze to było – przynagliśmy go na wyścigi.

- Ano tak – powiedział – jak spotkołek Cyganke, ta przepowiedziała mi, ze bede oglondol te cuda, jak swojom krwiom podpise umowe z diabłem, cekojze, myśle se, jo ci tu dom, kiwnolek głowom,

ze bedzie, ale wprzódy muse to uwidzieć, a potem bede podpisywoł, nie bardzo się ji to widziało, ale godo, no niegze bedzie, kie tak kces, patrze sie, a tu fyrk babom, omietło jom dokoła ze trzy razy i z Cyganichy zrobi się diabol, strzelił kopytami, wyciongnol renke z kurzymi pazurami, pierdnon, rany, a tu przed nami karoca z porkom bielutkich koni, siadoj, godo to corcie nasiynie, Jezu, co to było, konie pryhajom, dzwonki u chomont dzwoniom, gwiazdy mrygajom, cherubinki psocom, janielice wylegujom sie na chmurkak, a my Drogom Mlycnom prościutyanko do Świyntego Pietra, tam

wysokie, kute dźwyrze i strażnicy niebiescy przy nik, naroz otwyrzajom sie same i slyse cudnom muzyke, chóry janielskie, kadzidla woniejonce durzom i światłość tako, zebyś łoślyp, wysiodek z ty karocy i cosik mie pko do przodu, ide, przekrocom próg, dźwyrza zaś sie same przymykajom, patrze, a tu świnynty Pieter kiwo palcem, na janielice, zeby mie oprowadzila po tyk włościak, no niegze bedzie, idymy, a tam manne prosto z chmur jedzom i popijajom ambrozyjom, zaś dali siedzom i grajom na cytrze, fujarka i rozmaityk takik dziwnyk brzenkadlak, idymy, tu zasiok przecudnie śpiewajom na rozmaite nuty, syćko na kwole Pana, a wsen dy pełno dus, lotajom jak ptoki, bielućkie i lekućkie jak piórko, co kcom to robiom, jedne tajcujom, inse fikajom koziołki, jescce inkse drzymiom na chmurkak, a pomiyndzy nimi janioly figlujom i pilnujom porzondku, tamok zaś przechadzajom się sami świnynci, z kółkami ze zlota na głowak i promienistyk sukniak, jedni cytajom biblie, drudzy przeglondajom modlitwy, jakie przysyłane som z ziyimi i nojpilniyjse przesyłajom cherubinami do Matki Boski, bo una dopiyero ś niemi idzie do Jezusa, a tyn do Boga Ojca, taki jes porzondek i potym zaś świnynci ślom łaski tu do nos podle zasług i uwazowanio, no i tak, dali my juz nie pošli, bo się tu niebo kojcyło, a na wysejse piyntro zywok nie puscajom, stamtond bila tako łuna, ze clek by nie strzymoł, tak juz tronu Pana i cały Świnynty Rodziny nie widziołek, ale usłysołek boski głos, Jyn drzeju, dy wrocojze się na zymie, bo to jescce nie twojo pora, idź i opowiodoj kaześ był i coś widziol, i tako janielica lekutko musnyła mie skrzydłem i zaconek spadać z nieba jak jaki listek, trzy dni i trzy noce tak spodolek, rose z chmur pilek, bo mi w garle zaskło, nic nie jodek i nie spolek, bo jak, a tu ciemności takie,

gwiazdy iskrami casem sypnom, ale i tak dna nie uwidzisz, głuchota tako, ze choćbyś i dar się, to i echa ni ma i nik cie nie usłysz, az i nareście prasnołek o grunt, patrze sie, a jo tu przed wrotami piekielnymi, juz ceko na mie mój diabol i śmieje sie, no teraz ci się dopiyero uwidzi, godo do mnie ta beskurcyjo, pociongnolek za skobel tyk wrót, nic, zabuchołek trzy razy i teraz dopiero same się otwarły, rety, patrze, a tu pełno diabłów w kusyk portkak, abo w samyk ino gaciak, jedne majom psie ogony, inse krowie, jedne rogi i świnyńskom śceć, insi zaś som łysi, ale majom ptosie pióra i pazury, widłami obracajom potympiyńców w kotlak ze smolom i drew dociskujom do ogni, ło Boze, jazem sie cały spocił, no ale to nic, idymy dali, a tu w izbie taki duzy jak w gospodzie, corcie wesele, jakisi diobel się zyni z carownicom, cygańskie muzykanty grajom na skrzypkak i rondlak, colkiem gole carownice same ze sobom tajcujom, ba, ino z mietłami, mniyjse diobły uganijajom się po izbie, podscypujom je i fikajom koziołki, a starsyzna corcio uctuje ze strzygami i zmorami, naloli mi kielik smoły, pij, godajom, nie bój sie, a na misce mi dajom colkiem zywe jascurki i gady, no jydz, namowiajom, jescce mi narzeconom naraili, dy weź se jom, a pocałuj i podtykają mi, psiekrwie, zabe, takom wielgachnom jak cłowiek, ta z łapami do mnie i jynzyk juz zwijo w trombke, pewnie by mnie zjadła jak jako muche, jakbyk nie uciyk na dziedziniec, takie ogromniaste placysko, całe wysypane kojskim gównem, a tam ci jakosik parada, na drabiniastym wozie siedzi okrakiem som Lucyper, cały włochaty jak baran, ale z koronom na kojsikim łebie i z berłem w scurzyk łapskak, wóz ciągnom śtyry zakonnice w przeźrocystyk habitak, za nimi mnisi, ino im spod kapturów kozie rogi wystajom, odmowiajom modlitwe

*ojce nas, ale na obyrtkę, jaze sie krzyzem
świyntym przezegnołek, i naraz taki wia-
ter powioł, ze obróciło mnom pore razy,
i znalazek sie w samiúskim srodecku pie-
kla, w izbie cały z ludzkik kości, syćkie
ściany i drzwi, foszty i sufit, nawet stół
i ławy, ino okien wcale nie było, na srod-
ku stoł ogromniasty zygor, co tykoł rów-
niusinko i jedynom wskazówkom poka-
zowol jednom godzinie, a nad niom poli-
ło sie jedno słowo: wiec noś, a wahadło
tego zygora przegadywało tak: tik tak, tik
tak, zawse nigdy, zawse nigdy, uklynkno-
łek i przezegnołek się zasiok, a tu trom-
ba powietrzno jak mie nie zakrynci, jak
nie porwie przez komin w izbie, jak nie
wyciśnie jaze do samyk chmur, ło Jezu,
spodołek jak kamiyń i pewnie zabilbyk
sie, jakbyk tak prasnął o zymie, ale le-
cioły bociany i une mnie złapoły, a jag-
zek się obudził, patrze sie, a jo ci w pie-
luchak, rany zeście, to bez te bociany,
bo une myślały, ze jo jes dzieckiyim.*

I tu Jędrzej urwał i czeka, co my na to, a my długo nie mogliśmy przyjść do siebie i nawet baliśmy się pytać co dalej. Zresztą nie musieliśmy, bo i tak zna- liśmy to na pamięć, ale za każdym ra- zem wylawialiśmy w tej opowieści coś nowego. Jędrzej przeleżał, każdy to wie, ponad trzy tyżni, jak nieżywy w letar- gu, czy jak tam to doktory nazywają, ale może naprawdę był w piekle i niebie?

Nazajutrz znowu pokuśtykałem z bratem na łąkę, kij mi już nie był po- trzebny. Z koszykiem na plecach pełnym trawy minęła nas głucha Kaplicowa, co pewnie ma już ze sto років. Nikt nie pamięta kiedy się urodziła i kto był jej chłopem, ani ona sama nie pamięta i nie poznaje już nikogo. Idzie sama i mrczy:

- Ej tak cy siak, zawse jedno, jak jes disc niedobrze, jak ni ma tyz niedobrze, ej tak cy siak, bedzie wojna.

Nad Lipieniem się zachmu- rzyło. □



SANEK DZIDY?

Konfrontacja

Han-fei-tsy opowiada: Pewien czło- wiek z Cz'u handlował tarczami i dzidami. Zachwalał swoje dzidy, mówiąc, iż są tak ostre, że wszystko przebija, a tarcze tak mocne, że nic ich nie przebije. W końcu ktoś nie wytrzymał i zapytał go:

- A co się stanie, kiedy ktoś użyje two- ich dzid przeciw twoim tarczom?

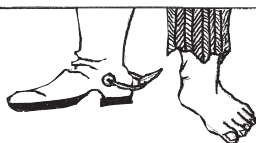
Śmierć

Matematyk i fizyk Tales z Miletu ma- wiał, śmierć niczym nie różni się od życia.

- Dlaczego więc nie umierasz? – za- pytał ktoś.

- Właśnie dlatego.

Natomiast gdy wybitny polityk i pra- wodawca Solon oplakiwał śmierć syna, a ktoś mu powiedział: „Płacz nic nie po- może”, mędrzec odrzekł: „Właśnie dlatego płaczę”.



JĘDRZEJ SZLACHETKA

Zostań jeszcze trochę

- Królu, królu, bóg odszedł! – zaskrzeczał błazen, strojąc głupie miny i robiąc fikołki, jakby chciał złagodzić przerażający wydzźwięk przekazywanej nowiny. – Odszedł, lub nawet nie żyje.

- Może znowu – machnął ze zniecierpliwieniem ręką król – poszedł na ryby, bądź w góry, bądź na jedną ze swych wypraw. –Przysłonił ręką oczy, jakby bolała go głowa. - Lub znów się zakochał, lub obraził, lub kogoś znienawidził.

- Nie nie, tym razem na pewno go nie ma i może nie być już na zawsze. Opuścza nas, i tym razem już nie wróci.

Król podniósł głowę: - Dlaczego tak mówisz?

- Wszyscy tak mówią, i kapłani, i wróżbici, ale przede wszystkim jego chata jest pusta. Nie, nie pusta – opustoszała. Jest pełna przedmiotów, ale nic tam nie ma.

Król pojechał odwiedzić chatę. Mógł tam wysłać sobie zaufanych ludzi, ale był mądrym królem: wiedział, że ten, kto wciąż tylko wysługuje się innymi, przestaje mieć nad czymkolwiek kontrolę i w końcu nie rządzi już nawet samym sobą. Zatem, jako mądry władca, nie zebrał swej bogatej i kolorowej świty, ale tylko to, co mu było niezbędne – prowiant, dwóch wiernych rycerzy, no i błazna – i wyruszył w górskie przełęcze szukać potwierdzenia swych obaw.

Rzadko odwiedzał swego boga, dlatego nie od razu zauważył to, co natychmiast zaniepokoiłoby innych. Chata stała w dolinie, obok wiecznie zimnego jeziora o skalistych brzegach i kamiennym dnem, na lekkiej pochyłości. Nigdy,

przenigdy nie była zamknięta na klucz, bo też rzadko kto ją odwiedzał. Taki właśnie wyznawcy mieli układ ze swoim bogiem: szanowali go za wszystko, co im uczynił, ale jeszcze bardziej za to, czego im nie uczynił, oraz, że się w ogóle nie wtrącał do ich spraw. I oni odwdzięczali mu się tym samym: nieczęsto go niepokoiłi, a nawet jeśli, to zazwyczaj odchodzili z kwitkiem. Ale zawsze, gdy przyszli w chłodne górskie rejony, byli witani, choć zimno, to jednak kubkiem ciepłej herbaty, a nawet zupą; bóg doceniał nie tyle ich obecność, co trud wędrówki, który podjęli. I tym właśnie pierwszym znakiem, który powinien dać królowi do myślenia, był brak dymu nad chatą. Choć nie wiadomo, czy bogu mogło być zimno, ogień i herbata stanowiły coś w rodzaju jego atrybutów; czegoś, co było mu potrzebne do istnienia.

Niczego to jeszcze jednak nie przesądzało; bóg wszakże wiele razy wyruszał ze swojej chaty, krążąc bez celu po górach. Ogień nie palił się wtedy w chacie, ale przy szałasach, namiotach, innych chatach, a czasem nawet na otwartym terenie. Wszędzie, gdzie bóg szedł, niósł ogień; ciepło, którego nie potrzebował. Ale jednak, gdy król ze swymi towarzyszami doszli do chaty, zauważyli, że nikogo nie było tam od bardzo dawna. Palenisko było wygasłe, naczynia umyte, a wszystkie rzeczy, które bóg miał – i choć nie był bogaty, to jednak miał ich dużo – poukładane. I drugim znakiem nieobecności był porządek. Taki porządek, który zostawia się, gdy się odchodzi. Bóg nigdy nie sprzątał, bałagan był

jego środowiskiem życia. Zatem nawet, gdy wędrował, zostawiał wszystko, jak leżało, żeby potem móc wrócić do siebie. Jednak teraz chata była posprzątana. Już nie była niczym domem.

Król wszedł do środka. Patrzył na wszystkie rzeczy – książki, notatki, wiersze, obrazy, rzeźby – i myślał o tym, że zostały porzucone. Coś w tym obrazie przekonało go całkowicie – bóg odchodził lub umierał. Za gardło chwycił go lęk, jaki chwyta osoby, które w takich chwilach pozostają. Lęk opuszczenia, bezradności i niezrozumienia. Wszyscy znamy ten lęk i wszyscy dobrze wiemy, co stało się potem: król zaczął działać. Zaczął myśleć o tym, co zrobić, żeby zapobiec temu, co się dzieje, rozpaczliwie powstrzymać sam nie wiedząc co. Nic, co król postanowił, nic, co się potem stało, nie zmieniło końca tej historii; było wyrazem bezsilnej desperacji, którą człowiek odczuwa wobec wydarzenia, które go przerasta. Ale nawet świadomość tej bezsilności, którą król miał, nie może powstrzymać człowieka od wszelkich prób zmiany biegu rzeczy.

Zatem oto, co król postanowił: trzeba odnaleźć boga. Jeżeli żyje, poprosić, by nie odchodził, a jeżeli nie żyje, to przynajmniej go pochować. I żeby to osiągnąć, trzeba zwołać najlepszych i najdzielniejszych rycerzy całego królestwa, rozesłać ich we wszystkie strony świata i kazać im szukać najdrobniejszego śladu boga, który zaginął. Jak postanowił, tak zrobił: zwołał do swej sali audiencyjnej wszystkich swoich rycerzy. Nie zdziwił się, że niektórzy z nich oczekiwali takiego wezwania i przybyli natychmiast. Inni, być może z tego samego powodu, się ociągali. Gdy wreszcie wszyscy się zjechali, rzekł do nich w te słowa:

- Moi drodzy wasale. Być może już sami wiecie, że nasz ukochany bóg

zniknął i boimy się, że zniknął całkowicie i na zawsze. Nie wiemy, co to oznacza, ale sądzimy, że dzieje się coś bardzo złego. Po pierwsze mogą nadchodzić zmiany, które niosą coś nieznanego, na co nie jesteśmy gotowi. Po drugie zaś być może zbliża się ku nam coś, czego sam nasz bóg się boi, przed czym sam ucieka, a być może już nawet uległ. – Wypowiadając ostatnie zdanie podniósł głos. Już chwilę wcześniej pomyślał o trzeciej ewentualności – że bóg oszalał i że może nawet dobrze, że odszedł. Ale nie powiedział tego na głos. – Nie wiemy, co to oznacza, ale sądzimy... Ja sądzę, że trzeba boga przynajmniej spróbować odnaleźć. Każdy z was pojedzie w innym kierunku świata, zaczynając stąd, i będzie pytał i wypatrywał najmniejszego śladu. I jeżeli taki znajdzie, niezwłocznie prześle do mnie tę wieść. A kiedy dowiemy się, gdzie bóg może być i co może robić, ja sam pojadę się z nim spotkać. .

I tak rozjechali się rycerze na niezliczoną ilość stron świata szukać czegoś, co mogłoby świadczyć o obecności boga - choć żaden z nich nie wiedział do końca czego. Jednak szybko zorientował się król w słabości swojego planu: obawiał się, że będzie ciężko znaleźć jakikolwiek ślad, a było dokładnie odwrotnie. Zewsząd prawie natychmiast zaczęły spływać informacje o różnorodnych cudach i dziwach, które mogłyby świadczyć o obecności bóstwa w tych okolicach. A były to wieści różnorakie. Część z nich była ewidentnie zmyślona: dotyczyła uzdrowień, zmartwychwstań i innych kuglarskich sztuczek, które na pewno nie mogły być udziałem tego, którego poszukiwano. Ale inne były prawie na pewno prawdziwe i prawie zawsze bardzo niepokojące: niektóre fragmenty królestwa zmieniały się w przedziwny sposób, jakby wszystko przeistaczało się

w sen, który traci swoją spójność i w którym przestają obowiązywać prawa logiki. Pewne rzeczy znikają, inne pojawiały się znikąd: najpierw drobne przedmioty, potem budynki, a na końcu całe wsie i miasta. Ludzie rodzili się zdeformowani, a czasem zdrowi ulegali przedziwnym przemianom. Niektórzy twierdzili, że żyją wstecz w czasie, a inni, że nie istnieją wcale; a wszyscy prawie na pewno byli szaleni. Królestwo, a być może cały świat pogrążyły się stopniowo w chaosie i absurdzie, i król zaczął rozumieć, że to właśnie jest efekt nieobecności boga. Jego samego jednak nigdzie nie było.

Rycerze dotarli do najdalszych zakątków królestwa, a niektórzy jeszcze dalej, do dziwnych i obcych krain, niczego jednak nie znaleźli. Zrezygnowani wracali i królestwo powoli popadało w rozpacz. I wtedy to przed oblicze króla przyprawiono dwunastoletnią dziewczynkę, która w te słowa rzekła do niego:

- Wiem, gdzie jest nasz bóg.

Król zdziwił się bardzo, bo zastępy doborowych rycerzy przez długie miesiące szukały jakiegokolwiek śladu i tak jej odpowiedział:

- Jakże to?

- Ano tak! – Rzekła buńczucznie dziewczyna, co wywołało pomruk oburzenia wśród dworzan. – Wiele razy śledziłam go, jak chodzi na swe wędrówki, a potem również chodziłam razem z nim. I tym razem wiem, gdzie jest, choć prosił, bym z nim nie szła.

- Gdzie jest, powiedz natychmiast! – Zirytował się król.

- Nie tak szybko! – Powiedziała dziewczyna, i teraz już nie pomruk, ale okrzyk oburzenia przeszedł po sali. – Mam jeden warunek. Nie powiem, gdzie bóg jest, bo sama dokładnie nie wiem, ale sama was tam zaprowadzę.

- No to wiesz, czy nie wiesz?! – grzmiał król.

- Wiem, gdzie poszedł, ale nigdy tam nie byłam. To miejsce w górach bardzo wysoko i...

- I co, i co?! – Król z wściekły, że smarkula dyktuje mu warunki, walił pięścią w swój tron.

- I on mówił, że tam kończy się świat.

Król na te słowa ochłonął nieco i zamyslił się. Drapał się przez chwilę po swej siwej brodzie, aż wreszcie rzekł:

- Dobrze zatem, przystaję na twoje warunki. To, co mówisz jest bzdurą i pewnie nie wiesz, gdzie jest bóg, ale tak długo go szukaliśmy i w tak dziwnych miejscach, że możemy spróbować równie dobrze tego. Dokąd mamy wyruszyć? Wyślę z tobą swoich najdzielniejszych rycerzy!

- Królu, wystarczy tylko jeden, ale to i tylko po to, żeby mógł potwierdzić moje słowa. I to możesz być ty sam, jeżeli czujesz się na siłach, by podjąć górską wspinaczkę. A co do miejsca – przybądź najszybciej, jak możesz do chaty, w której mieszkał nasz bóg.

Tak też zrobili. Król postanowił wyruszyć osobiście, bo pomyślał, że sam najprędzej przekona boga, by naprawił bałagan, który opanował świat. Zjawił się zatem po drzwiach chaty, wraz ze swym błaznem i tym razem zauważył, że nad domem unosi się dym. Dziewczynka najwyraźniej tu zamieszkała i gdy król wszedł do środka, poczęstowała go herbatą. Ucieszył się niezmiernie, gdyż pomyślał, że to pod postacią bezczelnej smarkuli ukrył się ich bóg; że to był tylko taki kawał. Zmieszał się też trochę, bo na dziewczynę nakrzyczał. I był zły na siebie, że od razu nie przejrzał podstępny. Ale dziewczyna widząc to, wyprowadziła go z błędu:

- Mieszkam tu, ale nie jestem bogiem. Chyba, że każdy, kto tu mieszka, jest bogiem.

- To gdzie on jest?

Wyszli przed chatę. Nie wiał wiatr i było ciepło. Nad nimi wznosiło się kilka szczytów, wysokich i stromych, niczym gotyckie katedry.

- Tam – powiedziała, wskazując palcem w kierunku jednego z nich.

Król zmrugał oczy w nadzieję, że dostrzeże jakąś postać, ale szybko zganiał się za swoją naiwność. Czekala ich trudna wspinaczka.

Dopili herbatę i ruszyli we dwójkę, bo błazen został, by pilnować ognia. Ruszyli najpierw wzdłuż doliny, której dno wznosiło się i opadało. Ta część wędrowniki była nawet przyjemna i przez to król uległ złudzeniu, że droga będzie łatwa. Trochę zmartwiło go jednak to, że raczej oddalają się od szczytu, o którym mówiła dziewczyna. Po godzinie lub dwóch ścieżka zaczęła się coraz stromiej pięć pod górę, zakręcając jednocześnie łukiem w lewo: król zrozumiał, że obchodzą górę, by wspiąć się na nią od tyłu.

Weszli w las sosnowy; zrobiło się chłodniej, bo drzewa przepuszczały mniej słońca. Potem niebo całkiem przysłoniły chmury i zaczął padać deszcz. W miarę, jak szli pod górę, drzewa stawały się coraz niższe, a ścieżka coraz bardziej stroma. Król musiał pomagać sobie rękami, a i tak kilka razy upadł. Wreszcie wyszli ponad granicę lasu: wydawało się, że byli już całkiem wysoko, bo skalne szczyty otaczały ich z każdej strony. Do deszczu dołączył też zimny wiatr i mróz przenikał przez przemoczone ubranie aż do kości. Odpoczęli chwilę, zjedli część prowiantu i ruszyli dalej.

Przez jakiś czas szli stromo pod górę wśród wielkich skał, aż weszli w dolinę otoczoną szczytami z trzech stron.

- To ten. – Dziewczyna wskazała najwyższy z nich. Król rozejrzał się dookoła. W dole za sobą, daleko pod nimi zobaczył chatę boga, nad którą unosił się dym. Zrozumiał, że ani dolinki, ani szczytu nie było jeszcze stamtąd widać.

- Czekaj nas teraz najcięższa część wyprawy i jeżeli chcesz się wycofać, to teraz. Potem... potem to już nie będzie miało znaczenia.

- Idę – wysapał król, przerażony wspinaczką, która go czeka. Szczyty, które nad nimi górowały, były bardzo wysokie i strome; znacznie wyższe, niż wydawały się, gdy patrzyli na nie z samego dołu. Wydawały się nie do zdobycia. Ale wiedział – albo przynajmniej bardzo głęboko wierzył – że dziewczyna wie, co robi, i że on sam nie może się wycofać.

Ruszyli więc dalej. Szli już teraz po skale na czworaka, pośród wiatru, który był coraz silniejszy. Gdy weszli na grań, musieli bardzo uważać, by nie związało ich w przepaść. Szli teraz wzdłuż i trochę poniżej grzbietu. Nie rozmawiali, bo nie mieli na to siły i nie było już o czym mówić. Wędrownika stawał się coraz trudniejsza. Wielokrotnie musieli zawracać, gdy okazywało się, że przejście jest niemożliwe. Krążyli między turniami, czasem lekko schodząc dół, by potem znów wspinać się w górę. Otoczyła ich mgła, lub chmury; zaczął też padać śnieg, który siekł prosto w twarz. Było bardzo ślisko i prawie nic nie było widać. Król przez chwilę myślał, że dziewczyna się zgubiła, ale jakimś cudem znalazła drogę. Wreszcie powiedziała:

- To tu. Dalej nie byłam i nie wiem, jak iść.

Król rozejrzał się. Doszli do turni. Oprócz drogi, którą przyszli, nie dało się iść nigdzie dalej. Jednak gdy na ułamek chwili wiatr przegnał chmury, zobaczyli, że przed nimi majaczy jeszcze jedno

szczyt. Musieli zejść prawie pionowo w dół, potem przeskoczyć nad przepaścią, ale dalej wydawało się, że droga jest już stosunkowo łatwa. Król był przerażony, serce waliło mu jak dzwon, ale zaczął powoli na czworakach ześlizgiwać się za dziewczyną. Gdy doszli do przepaści, ze strachu już prawie opadał z sił. Nie patrząc w dół wykonał krok i chwycił się skał po drugiej stronie. Były lodowate i śliskie, ale znalazł oparcie.

Znów szli pod górę. Nic już kompletnie nie widzieli, ale droga faktycznie nie była trudna. W końcu zrobiło się prawie całkiem płasko i domyślali się, że są na szczycie. Co więcej, chmury zaczęły się rozwiewać, a wiatr - ustawać.

Stał przed nimi. Bóg stał przed nimi przy ognisku, które jakimś cudem rozpałił na tej wysokości i którego jakimś cudem nie porwał wiatr, który jeszcze przed chwilą wiał. Jednak wszystko było nierealne. Pośród ciągłej bieli, mrozu i zawiechury wszystko wydawało się nierealne już od bardzo dawna.

Bóg nic do nich nie mówił. Zauważył ich, ale czekał, żeby sami się odezwali. Król czuł, że gdyby nie powiedział nic, tylko po prostu odszedł, też nic by się nie stało. To oni przyszli do boga, i to oni mieli do niego jakieś pytania. Jego nie obchodziło, czy je zadadzą, czy nie; to ich sprawa.

- Boże!... – Wydusił wreszcie król.

- Tak? – Odpowiedział tamten zmęczonym głosem.

- Przyszedłem zapytać... przyszedłem zapytać, co się dzieje?

- Odchodzę.

- Ale dokąd? I dlaczego?

- Królu... bo już nic nie ma znaczenia.

- Ale... my cię potrzebujemy.

- Nie. Potrzebujecie wyjaśnienia. I dam ci je, jeżeli odpowiesz na moje pytanie.

- Dobrze.

- Czego się boisz? Czego się naprawdę najbardziej boisz?

Król zamyślił się. Najbardziej bał się tego, co dzieje się z jego królestwem, z jego poddanymi, ze światem.

- Nieznanego. Najbardziej boję się tego, czego nie rozumiem.

- Tak. Widzisz, człowieka z każdej strony otacza nicość. Mnie też. Człowiek się tej nicości boi i dlatego szuka wszelkich sposobów, żeby się od niej odciąć. Ale ona go zawsze dogoni, jako śmierć, lub szaleństwo.

- A ty jesteś szalony?

- Trochę tak. Bardziej szalony, niż martwy, ale właśnie chciałbym, żeby było inaczej. Królu powiedz mi, czego najbardziej pragniesz?

Król miał już odpowiedzieć, że chce spokoju w swoim królestwie. Ale potem pomyślał, że to, czego pragnie teraz najbardziej, to usnąć. Usnąć tutaj na tym szczycie i nie przejmować się już zupełnie niczym. Słyszał, że tak właśnie czują się ci, którzy zamarzają w górach i że nie wolno się temu poddawać. Ale czemuż by nie? W czym to jest lepsze od ciągłej walki o swoje życie? Walki, która prowadzi tylko do dalszej walki i do absurdu?

- Królu, dam ci teraz wyjaśnienie, o które prosisz. Ale wiedz, że ono nic nie zmieni, zatem będziesz mógł z nim zrobić, co chcesz. Królu, ja nie jestem z tego świata. Urodziłem się gdzieś zupełnie indziej i w zupełnie innym czasie. Wiodłem dobre życie, ale życie, którego nie chciałem. Za wszelką cenę próbowałem od niego uciec. Szukałem jakiegoś innego, lepszego świata i wtedy odkryłem, że mogę go wyśnić. Mogłem go stworzyć takim, jakim chciałem, spokojnym i odległym od trosk, których przysparzali mi inni – głos miał monotonny i jednostajny; tylko słowo „inni”

podkreślił w dziwny sposób - Żyłem więc na wyspie swych własnych marzeń, ale szybko zrozumiałem, że jest ona maleńka. Stawała się dla mnie za ciasna i żeby utrzymać swe szczęście, muszę stworzyć coś nowego. Muszę dośnić ten świat. Tworzyłem więc coraz to nowe wspaniałości, które mogłem podziwiać i po których mogłem bez końca wędrować. Dalej jednak czegoś mi brakowało i wreszcie doszedłem do tego, czego – innych. Byłem sam w swym świecie i w swym szczęściu. Dlatego zacząłem zapełniać ten świat ludźmi, zwierzętami i innymi stworzeniami. Nie chciałem jednak, by mącili mój spokój, uczyniłem się więc ich bogiem. Nie pragnąłem pokłonów, ani ofiar, chciałem być jednak czymś innym, niż oni. Mieli być towarzyszem, ale tylko w takim stopniu i takim zakresie, jakim chciałem. Mój świat, teraz również za ich sprawą, rozrastał się, ale wciąż mi w nim czegoś brakowało. I kiedy pewnego dnia siedziałem na szczycie tej góry, ujrzałem prawdę. - mówił spokojnie, jak człowiek, który wszystko przemyślał, daleko za sobą zostawił rozpacz i strach, i wie już dokładnie co zostało mu do zrobienia. - Ujrzałem, że wpadłem w pułapkę, że świat, który stworzyłem jest tak naprawdę nicością. Ta nicość istnieje tuż obok, za bardzo cienką zasłoną i jeżeli dobrze się przyjrzyysz, to możesz ją zobaczyć. To, co widzę nie jest prawdziwe, ma mi tylko mydlić oczy. I głęboko w niej żyją ukryte stwory bez oczu i twarzy, demony, które mają tylko jeden cel.

- Jaki cel?

- Ano taki, żeby zwabić nas w nicość i uświadomić nam, że nasze życie wyłania się z niej, jest nią podszyte i niczego poza nią w nim nie ma.

Chmury się rozwiały. Za nimi był świat, z którego przyszli. Widzieli góry

i chatę w oddali. A przed nimi... a przed nimi wszystko było dziwne. Jakby nie było nic, ale jednocześnie wszystko. Wszystkie rzeczy, ale bez żadnego kształtu, jakby czekające, że ktoś je wydobędzie i znajdzie im formę, miejsce w świecie. Nie była to bezładna masa, ale też nie był to żaden porządek – choćby w najmniejszym stopniu. Król zrozumiał, że to jest właśnie nicość. Nie miejsce, gdzie nic nie ma, ale miejsce, gdzie nic nie ma znaczenia. I w tej nicości majaczyły kształty. Potworne, choć czasem wydawały się ludzkie, a czasem skrzydlate i ogromne. Były też obce, ale tak obce, jak lęk, który przecież jest w nas. Czekały na boga.

- Królu, coś, co nas przeraża najbardziej, to nie nieznanne, tylko droga ku nieznanemu. Nie nicość, ale krok w nicość.

- Co teraz będzie?

- Nic.

Były to ostanie słowa, które bóg wypowiedział. Być może wykonał krok w nicość, a być może nigdy go tam nie było. Król się odwrócił. Nicości też tam nie było. Nie było, nigdy nie było ani boga, ani nicości, bo w to łatwiej uwierzyć, i to łatwiej zrozumieć.

Zeszli na dół i po drodze próbowali pojąć to, co się stało. Ale w głowach kołtowały im się różne myśli, których nie potrafili poukładać. Opowiedzieli bliźnowi całą historię, ale on też niczego nie potrafił im wytłumaczyć. Rozeszli się więc każdy w swoją stronę –dziewczyna została w chacie, a król i błazen wrócili na swój dwór.

Król siedział zmartwiony na tronie, już zupełnie nie wiedząc, co robić. Jednak gdy tak siedział, uświadomił sobie, że coś ważnego się zmieniło: wieści o dziwnych wydarzeniach przestały do niego dochodzić. Popytał swoich posłańców o ten stan rzeczy i dowiedział się,

ze królestwo dalej jest opanowane przez chaos, ale nic nowego się nie dzieje i dlatego postanowiono bardziej nie denerwować już i tak zafrasowanego króla. Ten jednak uradował się niezmiernie, bo wiedział, co to oznacza: świat przestał się zmieniać. Wciąż widywano w nim dziwy i rzeczy niesłychane, ale były to dziwy znajome i już widziane, a więc nie straszne. Bo chaos, który się nie zmienia, nie jest już chaosem.

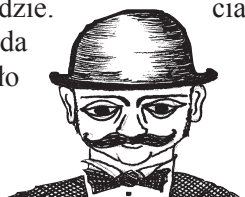
Raz jeszcze król wyruszył na wędrówkę, tym razem na własne oczy zobaczyć swoje udręczone królestwo. I zobaczył, że wciąż był to świat szalony i pełen absurdów, ale taki, w którym ludzie nauczyli się żyć. Wszystko wracało do normy, ale nowej normy. Niby zmieniło się wszystko, ale w jakiś sposób nie zmieniło się nic. Ale przede wszystkim nie stało się to, czego król się najbardziej obawiał: świat nie uległ zagładzie. Chociaż, pomyślał król, każda chwila jest zagładą tego, co było wcześniej.

Uradowany poszedł odwiedzić chatę boga. Zastał tam, jak się spodziewał, dziewczynę. Żyła sobie tak, jak kiedyś bóg, i tak jak on częstowała herbatą ludzi, chociaż nie potrafiła im pomóc. Co więcej, ludzie sami jakby też nie zauważyli różnicy. Nie wymagali od niej pomocy, tylko tego, żeby była.

Ona też spostrzegła, że świat wraca do równowagi i ludzie uczą się żyć w tym, co nowe.

Przez jakiś czas dziewczyna i król, kobieta i mężczyzna, siedzieli obok siebie w milczeniu przed chatą wśród gór, popijając herbatę. Potem król wrócił jeszcze raz do siebie i starał się być dobrym i mądrym królem. A dziewczyna żyła w chacie i opowiadała czasem historię o bogu który odszedł, chociaż mało kto jej wierzył. Ale wiedziała, że bóg miał rację – nic się nie zmieniło. Chociaż zmieniło się wszystko.

Jednak wciąż nie mogła pozbyć się wrażenia, że właśnie się obudziła. □



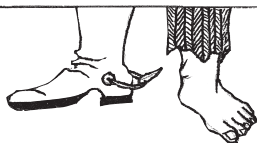
SANEK DODI?

Małżeństwo

Kiedy matka nakłaniała Talesa do małżeństwa, ten zwykł mówić: „Jeszcze nie pora”. Po latach zaś, gdy nadal nalegała, odpowiadał: „Już nie pora”.

Ktoś prosił filozofa Sokratesa o radę, czy żenić się, czy też nie. Mąż jędzy Ksantypy odpowiedział: „Cokolwiek zrobisz, będziesz żałował”.

Na pytanie, w jakim wieku najlepiej się żenić, cynik Diogenes wyjaśniał: „Dla młodych jest na to za wcześnie, dla starych za późno”.



4 lipca, w rocznicę męczeńskiej śmierci naszego Patrona, Tadeusza Boya-Żeleńskiego spotkaliśmy się na krakowskich Plantach, by pod Jego pomnikiem złożyć kwiaty i zapalić światło pamięci.

Nasze spotkanie było ważne tym bardziej, że czasy nie sprzyjają podobnym wydarzeniom. Cieszy zatem fakt, że nie zbrakło nam odwagi. Wdzięczni także jesteśmy Prezydentowi Miasta Krakowa, prof. Jackowi Majchrowskiemu za pamięć i przysłanie delegacji Urzędu Miasta z wiązką kwiatów.

Poniżej publikujemy treść wystąpienia Prezesa krakowskiego Towarzystwa Kultury Świeckiej, doktora Józefa Kabaja. □

Józef Kabaj



Boyowi na chwałę

Drodzy przyjaciele, szanowni Goście!
Zbieramy się tutaj – na krakowskich Plantach, pod popiersiem Tadeusza Boya Żeleńskiego – co roku, by oddać cześć nieustraszonemu bojownikowi szeroko rozumianego postępu społecznego, wężziej – orędownikowi wolnej myśli, świadomego macierzyństwa, praw kobiet do godnego pełnienia swoich ról społecznych, itd.; słowem bojownikowi walczącemu o to, na czym i nam ciągle zależy; jako że ciemnota i kołtuństwo nadal hulają po naszym kraju jak tumany po Dziżkich Polach.

Jemu nie udało się doprowadzić dzieła do skutku. Pomimo ogromnego dorobku i uznania (głównie we Francji, gdzie odznaczano go najwyższymi orderami za zasługi w upowszechnianiu arcydzieł literatury francuskiej i wartości Oświecenia), barbarzyńcy hitlerowscy stanęli w tym wypadku po stronie naszych „ideowych” okupantów i bestialsko usunęli im przeciwnika z drogi: zamordowali Boya, będącego w 1941 r. profesorem Uniwersytetu Lwowskiego (przemianowanego), wraz z innymi profesorami Polakami; w ramach akcji pozbywania się z zajętych obszarów polskiej inteligencji, potencjalnie zagrażającej planom Rzeszy Niemieckiej, zmierzającym do pozostawienia przy życiu tylko tych Polaków, którzy by służyli Niemcom jak niewolnicy w starożytnym Rzymie. Profesorowie, rzecz jasna, nie byli do tego potrzebni – a mogli przeszkadzać.

Jestem prezesem krakowskiego oddziału tego Towarzystwa – niewielkiego jak widać, lecz upartego – które nie poddało się i się nie poddaje, pomimo niesprzyjających wiatrów zatruwających powietrze (nie od dzisiaj) także w Krakowie. Nie poddaliśmy się w latach 70 mimo pogroźek kard. Wyszyńskiego

(wzmianka o należnym nam – teraz będzie cytata z Dobrej Nowiny – „kamieniu młyńskim” dla tych, co gorszą „maluczkich”) oraz pomimo zakazu najwyższych władz partyjnych („nie ważcie się tknąć Kościoła ...” – słowa samego Władysława Loranca), nie ulegamy pogrożkom ze strony naszych adwersarzy i dzisiaj. „Tykaliśmy” więc okrzęźnie, lecz z niewielkim wówczas skutkiem. Triumf niejaki przyszedł dopiero po kilkudziesięciu latach, mianowicie w bieżącym roku: sukces kinowy *Kleru* i internetowy dokumentu Sekielskich.

Ale nasza walka o to samo, o co walczył Boy Żeleński, jeszcze się nie skończyła. Upiory wyłażą nadal spod ziemi i gdzie się da. Samorządy niemal w pełni są niczym zombie. A one rządzą szkołami, czyli kształtują dusze młodzieży. W jakim duchu? Aż strach pomyśleć. Wiecznie żywe – dzięki przyjaźni z pewnym papieżem – Legiony Chrystusa, Opus Dei, inne rubieże jezuitów i redemptorystów, którym wprawdzie niegdyś zabroniono antypolskiej roboty, lecz działają obecnie ze wzmożoną siłą. Dla kogo? Okazuje się, że po prostu dla siebie. Z papieżem Franciszkiem mają związek znikomy... Ale „jego” Stolicę w znacznej mierze finansują.

W zeszłym roku mówiłem tutaj, że nasza obecność i składane przez nas kwiaty są dowodem, że są jeszcze w Krakowie ludzie śmiali, którzy cenią dorobek T. B.-Żeleńskiego i doceniają rolę, jaką odegrał on w swoich – też niesprzyjających postępowi – czasach. Dzisiaj dodaję w imieniu własnym i jak myślę wielu tu obecnych – że będziemy tu przychodzić nawet jeśli siły ciemności usuną to popiersie (raz już je przesunęły). Czarne chmury snują się bowiem po naszym wspólnym niebie i niewiele brakuje do

tego, żeby jakiś nawiedzony egzorcysta – pod ochroną policji – próbował nas stąd „wyzegać”. Wszak tworzy się już po temu – za zgodą pobożnych władz państwowych – odpowiednie zakłady „naukowe” na wyższych uczelniach. Potem będzie jeszcze astrologia w miejsce astronomii oraz zamawianie chorób przez szamanów w miejsce medycyny.

Psychologia przegrywa w konfrontacji z magią. Bo „ludzie tego potrzebują”. Czego? „Czegoś więcej, czegoś ponad”. A „religia to daje”. Zapomina się tylko, że „daje to z dobrodziejstwem inwentarza”, czyli obciążeniem budżetu Państwa na kilkanaście miliardów rocznie, a bez żadnej – poza tym obciążeniem – skuteczności. Huragany i powodzie szaleją niezależnie od uprawiania czarów, nawet tych na skalę państwową, a ludzie modlący się w sejmie o pogodę wcale nie są lepsi – statystycznie – od tych, którzy nie podzielają wiary w środki „nadprzyrodzone”. Ale karawana toczy się nadal. Nawet w Konstytucji znalazło się twierdzenie o istnieniu Boga. W jej Preambule czytamy (i rozumiemy!): „wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, zarówno wierzący w Boga będącego źródłem prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna, jak i nie podzielający tej wiary”. Rozumiemy – choć nie podzielamy – że według twórców tekstu tej Preambuły jest faktem, że Bóg istnieje jako „źródło prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna”. Istny cud. Pewnie też gwarantuje w ich przekonaniu świętość teje Konstytucji oraz... jej przestrzeganie przez organa Państwa polskiego.

W ostatnim roku pojawiły się dwie „jaskółki” czegoś nowego: film *Kler* Rzehaków i Smarzowskiego oraz dokument „Tylko nie mów nikomu” Sekielskich. Widownia ogromna i co? „Bryła” została poruszona, może się nawet nieco wzruszyła, lecz pozostaje nadal

w posadach i to mocno – czego dowodem wygrane wybory europejskie siłami pobożnych). Tak głębokie są fundamenty tradycyjnej konstrukcji obyczajowej oraz tak wielka jest siła „przymierza Kościoła z tronem”.

Najbardziej wyrazistym – bodaj – tego wyrazem jest przypadek (miejmy nadzieję, że unikalny), gdy pielęgniarka pobrawszy krew od pijanego kierowcy-księdza zamieniła fiolkę z krwią na swoją „niewinną”... Taką to „trzeźwość” wyhodowała formacja religijna w Polsce. Co roku odprawiająca jeden miesiąc w tej intencji (trzeźwości).

„Przecież Kościół nie uczy niczego złego”, powtarza się i wmawia narodowi od pokoleń, od przedszkola poczynając. Głosi to Kościół, który u samych początków swego znaczenia w cesarstwie rzymskim – także Cesarstwie Rzymskim Narodu Niemieckiego – opierał się na „pobożnym oszustwie (*pia fraus*) zwanym *donatio Constantini*. I nazywa się to nauką lub nauczaniem, *doctrina christiana*.

Dlatego robimy, co robimy. Nie ograniczamy się do spotkań i celebracji, lecz nasze siły są niewielkie. Wydajemy kwartalnik, w którym staramy się dawać odpór temu, co nam uwiera (w naszym rozumieniu szkodzi Państwu i Narodowi, czemu dawał wyraz daleko przed Boyem choćby Tadeusz Kościuszko); żywimy przy tym nadzieję, że nie spotka nas to, co się przydarzyło Kazimierzowi Łyszczyńskiemu, autorowi traktatu *de non existentia Dei*, i że nie spłonimy na Rynku Krakowskim jak on na Warszawskim, bo obciążeniu bluźnierczych członków (z głową włącznie) na oczach gawiedzi; i co ważniejsze: samego monarchy Jana III Sobieskiego, firmującego tę kaźń. Mała pogróżka już tu była...

Niedostatkiem naszej działalności – skromnej w porównaniu z Boyową pod

względem autorytetu i zasięgu – jest to, że przekonujemy o potrzebie walki z porażającą niemal na każdym kroku ciemnotą... prawie samych przekonanych. Dlatego proszę w imię racji, w którą wierzymy: rozmawiajmy o tym z bliskimi i dalszymi, pokazujmy im nasz kwartalnik i podawajmy ludziom link „forum myśli wolnej Kraków”. Wszak jeśli tyle milionów rodaków poszło do kina na *Kler*, a parę razy więcej oglądało dokument Sekielskich, to jest oczywiste, że istnieje potencjał do „zagospodarowania”, czyli że są masy zdolne do wzięcia się za tę „bryłę” przygniatającą od wieków umysły średniego i młodego pokolenia Polaków, indoktrynowanych od przedszkola bajecznymi opisami rzeczywistości oraz skłanianych do służenia nienajlepszym tradycjom. Pod warunkiem, że owe masy zostaną do tego przekonane.

Ja robiłem co mogłem w tej mierze od początku lat 70. Współdziałałem z Towarzystwem (ówczesnym TKKS) na miarę moich skromnych możliwości (asystenta na UJ, a od 74 r. adiunkta tamże z doktoratem z historii filozofii) wygłaszając odczyty i prowadząc dyskusje w ramach Uniwersytetów Powszechnych dla Rodziców, Uniwersytetu Młodych Racjonalistów (wykłady w Colegium Novum UJ) i otwartych prelekcji własnych w Domach Kultury. Są tutaj świadkowie i współuczestnicy tej pracy. Przede wszystkim jednak trzymałem fason wolnomyśliciela na prowadzonych zajęciach uniwersyteckich oraz w szkołach wyższych Krakowa i Katowic (WSP TWP). Towarzystwu naszemu (jak i mnie) zbrakło jednak poparcia w środowisku akademickim. Nawet starsi ode mnie niegdyśejsi wolnomyśliciele (z SAIW) „poszli w profesory” (czytaj: nie byli skłonni ryzykować karier akademickich). Jednym słowem, Towarzystwo nasze podupadało. Wyrzekło się nawet z biegiem czasu

nazwy Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej na rzecz Towarzystwa Kultury Świeckiej. Widać krzewienie komuś źle się kojarzyło...

Z „kaganka oświaty” pozostał więc kaganiec... nałożony wolnomyślicielom, którzy na to przystali. Godzili się na obrzędy religijne obowiązkowo odprawiane także w szkole, na rekolekcje z prowadzeniem dzieci i młodzieży za rękę do kościoła przez nauczycieli, uroczystości szkolne czy państwowe z atrybutami religijnymi. Osobiście odmawiałem udziału (jako w swoim czasie nauczyciel w szkołach średnich) – nie przedłużano mi więc umowy o pracę mimo moich formalnych kwalifikacji wyższych od przeciętnych: byłem (i nadal jestem) doktorem filozofii, przez wiele lat wykładałem etykę na wyższej uczelni, byłem jednym z pierwszych nauczycieli dyplomowanych.

Nie przestaję jednak (mimo tych doświadczeń) wierzyć – tak jak i moi współtowarzysze i zapewne większość tu przybyłych dzisiaj – że nawet kropla wydrąży skałę, jak to stwierdzili już starożytni, jeśli tylko będzie na nią padać dostatecznie często. I że osiągniemy kiedyś – jeśli nie my sami, to nasze dzieci czy wnuki – stan oświecenia w naszym kraju, o jakim marzył i o jaki walczył nasz patron – Tadeusz Boy Țeleński: lekarz, społecznik, literat i tłumacz literatury francuskiej, którego przekłady (tomy ułożone jedno na drugich) przebiły jego osobisty wzrost. Prof. Kurz, który go znał osobiście, powie na stronie, że nie był wysoki... Ale panu Andrzejowi możemy tę uwagę darować, bo on też mógłby pozować przy wcale nie niższej kolumnie swoich produktów wydawniczych... przy jego porównywalnym zresztą do Boyowego wzroście.

I na koniec moje pytanie: o kim możemy powiedzieć dzisiaj, że jest tak wielki jak Boy? □

Refleksja na czasie

Siedemdziesiąt pięć lat temu ukazał się Manifest PKWN i przez wiele lat 22 lipca był świętowany jako dzień, który zapoczątkował powstanie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Obecne elity rządzące i opiniotwórcze prześcigają się w oczernianiu PRL i przedstawianiu go w krzywym zwierciadle historii. Dominuje u nich pogląd, że jednego okupanta zastąpił drugi okupant, a Polska odzyskała niepodległość dopiero w 1989 roku; niektórzy idą dalej, że dopiero od przejęcia rządów przez Prawo i Sprawiedliwość. Jest to bardzo prymitywny pogląd, antypatriotyczny i bardzo szkodliwy dla wizerunku Polski. Aby móc rzetelnie oceniać okres 45 lat PRL nie wolno pomijać następujących faktów.

1. Polska w czasie wojny była w koalicji antyhitlerowskiej wspólnie ze Związkiem Radzieckim.

2. Wielka trójka podzieliła między sobą świat na strefy wpływów jeszcze przed zakończeniem wojny i Polska została przydzielona do radzieckiej strefy wpływów. Ustalenia były przestrzegane po zakończeniu działań wojennych; przykłady to opuszczenie przez Armię Czerwoną terenów Austrii i stłumienie przez Brytyjczyków greckiego powstania. W tych warunkach jakkolwiek polski rząd musiał współpracować z władzami ZSRR, a podjęcie walki zbrojnej zakończyłoby się niewyobrażalną tragedią.

3. Społeczeństwo z wielką ulgą i nadzieją przyjęło zakończenie wojny i w zdecydowanej większości przystąpiło do odbudowy kraju, a tylko nieliczni nie złożyli broni i podjęli dalszą walkę o abstrakcyjną wolność z absurdalną nadzieją na III wojnę światową.

4. Polska Rzeczpospolita Ludowa była uznawana przez wszystkie kraje i miała spory wkład w kształtowanie ówczesnych stosunków międzynarodowych.

Oceniając PRL trzeba pamiętać o tych faktach, aby rzetelnie oceniać okres powojennego 45-lecia. Trzeba uwzględniać ile udało się dokonać na rzecz społeczeństwa, jak rozwinął się kraj, co było nowego i innowacyjnego, jakie popełniono błędy i dlaczego. W dyskusjach oceniających PRL zdarzały się głosy uznanych naukowców oceniających ten okres jako jeden z najlepszych w historii Polski. Na pewno należy oddać cześć i chwałę tym, którzy często z narażeniem życia odbudowywali kraj ze zniszczeń najokrutniejszej z wojen.

Komentarze

- Pożegnaliśmy Staszka Franczaka, naszego kolegę, druha i przyjaciela. Znanego działacza kultury, poetę i prozaika. Ile razy spotkamy się na Dekerta aby kontynuować nasze wspólne dzieło, na które miałeś znaczący wpływ, zawsze będziesz duchem z nami i zawsze będziemy o Tobie pamiętać.

Żegnaj Przyjacielu.

- Prawie całkowicie ucichła sprawa rozliczenia pedofilii Kościele. Aktualnym tematem kościelnej hierarchii to walka z LGBT; co to jest LGBT nie bardzo wiadomo, ale prowadzona przy udziale prawicy walka jest słuszną, zdecydowaną i podobno w interesie społecznym.

- Obecna władza wykazuje wielkie zamiłowanie do różnego rodzaju celebry. Wykorzystuje każdą okazję aby zorganizować parady, przemarsze wojsk, uroczyste fety itp. itd. W ciągu niecałogo miesiąca odbyły się cztery wielkie manifestacje z okazji rocznic; Bitwy Warszawskiej, Powstań Śląskich, wybuchu II wojny światowej i Powstania Warszawskiego. Można odnieść wrażenie, że organizowane są one tylko po to, aby przedstawiciele władzy mogli publicznie wystąpić i grać żalosne role wielkich mówców.

- Odbyła się krótka kampania wyborcza do Sejmu i Senatu, z dominującą cechą licytacji kto da więcej. Wszyscy obiecywali co tylko mogli, aby jak najlepiej sprzedać się wyborcom.

- SLD, Razem i Wiosna stworzyły blok wyborczy „Lewica”, co zostało dobrze przyjęte w elektoracie, dając nadzieję na powrót lewicy do parlamentu. I tylko należy mieć nadzieję, że z tej mąki będzie dobry chleb, a nie kolejny zakalec.

- W piątek 20 września dzieci i młodzież w kilkudziesięciu miastach na całym świecie manifestowali na rzecz ochrony środowiska przed szkodliwą działalnością człowieka. Głoszono hasła o konieczności ratowania świata przed szybko zbliżającą się katastrofą

klimatyczną. Ten spontaniczny i powszechny ruch młodych ludzi budzi dużą nadzieję na zmianę sposobu myślenia na takie, w którym na pierwszym miejscu będzie działanie na rzecz interesu społecznego, a nie pogoń za indywidualnym gromadzeniem bogactwa.

- W tym samym dniu prezydent Andrzej Duda własnoręcznie zbierał śmieci w lesie, pokazując jak dba o środowisko. Telewizja pokazała, jak głowa państwa w towarzystwie grona ochroniarzy spaceruje po lesie z workiem na śmieci, a w oddali czeka kolumna samochodów. Każdy odrobinę myślący wie, że osoba chroniona nie może samotnie chodzić po lesie, a wszystko co znajduje musi być najpierw sprawdzone i zbadane przez odpowiednie służby. Zatem prawdopodobnie wszystkie zbierane przedmioty były wcześniej przywiezione i ułożone w odpowiednich miejscach. Natomiast odpowiednia relacja telewizyjna poszła w lud, który to kupuje i głosuje według życzenia rządzących.

- Amerykanie oficjalnie ogłosili jakoby prawdą było spotkanie pilotów wojskowych z UFO. Wniosek zatem jest taki, że nie jesteśmy sami w kosmosie. Przekonanie takie wraca po raz kolejny. I wracać będzie zapewne jeszcze nie raz. □

Opracował: Sławomir Brodziński





Czy księża pedofile mają poczucie winy?

- Nie spotkałem się z takim przypadkiem. Wielu z nich, gdy ofiara dorasta, znajduje sobie kolejną, 13-15-letnią. Od znajomych kapłanów wiem, jak to wygląda w środku Kościoła. Jeden ksiądz spowiada się drugiemu z grzechu nieczystości, a po chwili spowiadający wyznaje to samo spowiadaniem. I tak to działa.

Do molestowania dochodzi już w seminariach. Tam osoba, która zgłasza, że była ofiarą molestowania jest wydalona, a molestujący zostaje księdzem. A ksiądz, który żali się przełożonym, że ma problem ze swoją seksualnością, słyszy, że ma się więcej modlić.

- Co jeszcze uderzyło państwa podczas rozmów z pokrzywdzonymi?

- Przyzwolenie na pedofilię z udziałem księży, które wynika z dewocyjnych postaw rodziców, zwłaszcza w małych miejscowościach. Opowiem pani o Irenie, która przez lata była poddawana egzorcyzmom. Zaczęło się od obserwacji krewnej, która stwierdziła, że Irena interesuje się mroczną muzyką. Irena jest artystką, malowała, tworzyła różne instalacje. Krewna doszła do wniosku, że odprawia czarne msze. Zaczęto Irenę poddawać egzorcyzmom. To był horror. Smarowano jej intymne części ciała jakimiś olejami, mówiono jej, że są siedliskiem szatana.

- To historia ze średniowiecza?

- Nie, działa się w Polsce, kilka lat temu. Irena wracała do domu wymaltretowana, z porwaną bielizną. Kiedy skarżyła się krewnym, że podczas egzorcyzmów księża naruszają jej intymność, mówiono, że przemawia przez nią szatan. W podziemiach wielu polskich kościołów stoją łóżka z pasami, gdzie można wiązać osoby rzekomo opętane.

Nad egzorcystami w Polsce nie ma żadnej kontroli. Osoby poddawane tym rytuałom są czasem wręcz torturowane, narusza się ich intymność i nietykalność. Pod koniec

lat 70 ubiegłego wieku w Niemczech doszło do skazania dwóch księży egzorcystów za nieumyślne spowodowanie śmierci młodej dziewczyny Anneliese Michel. Po tym zdarzeniu Episkopat niemiecki wydał zakaz odprawiania egzorcyzmów.

W Polsce ten „rynek” kwitnie w najlepsze. Można kupić oleje, sole i wodę do rytuałów, są nawet specjalne miesięczniki, które zajmują się tą tematyką. Jeszcze kilka lat temu egzorcystów było u nas kilkunastu, w tej chwili jest około 150.

- Jak się skończył koszmar Ireny?

- Miała dość, próbowała popełnić samobójstwo, podcinając sobie żyły. Ale rodzina, zamiast do lekarza, zawiązała ją w dywan i wiozła do księdza egzorcysty. W przerwach między egzorcyzmami księża palili papierosy i niewybrednie komentowali jej wygląd. Pamięta, jak mówili: „fajna dupa”, „fajne cycyki”. Wybijano jej zęby krzyżem, miała pęknięte żebra, ma uszkodzony kręgosłup, bo egzorcyści na niej siadali.

Irena jest w traumie. Uciekła z domu, nie utrzymuje kontaktu z rodzicami. Została otoczona opieką fundacji „Nie lękajcie się”, stara się być niezależna. W dzień się uczy, nocami pracuje, żeby dorobić na swoje utrzymanie. Odreagowuje pisząc pamiętniki, chodzi na terapię. Jej historię opisał „Duży Format”.

Podobnie wygląda sytuacja Marty, którą ksiądz zgwałcił na śmietniku. Często jest u terapeuty, nie może sobie poradzić z koszmarem. Jest poraniona jak wszystkie ofiary księży pedofilów. Nie da się z tego wyjść na jednej sesji terapeutycznej.

Poznałem też inną kobietę zgwałconą przed 20 laty przez księdza. Teraz jest w związku, ale nigdy ze swoim chłopakiem nie współżyła. Na jesieni planują wesele, ale u tej kobiety myślenie o nocy poślubnej wywołuje traumę.

Ofiarom borykającymi się traumą nie pomagają sądy.

- Marek Lisiński, lider fundacji "Nie lękaj się", wystąpił przeciwko diecezji, w której był molestowany ponad 30 lat temu. Ta sprawa trwa już od trzech lat. Każda wizyta w sądzie, gdzie spotyka swojego oprawcę, jest dla niego koszmarem. Ksiądz pedofil został co prawda skazany wyrokiem watykańskim, ale podważa ten wyrok.

W sądach sprawy ciągną się latami, a procedury kościelne maksymalnie zniechęcają pokrzywdzonych, by w ogóle je wnosili.

- Przed świeckim sądem w postępowaniu karnym pokrzywdzony jest przesłuchiwany tylko raz. A sprawca nie jest przy tym obecny. Przed kościelnym ofiary przesłuchuje komisja złożona z duchownych, przy udziale adwokata sprawy. Pokrzywdzeni opowiadali nam, że przesłuchanie trwa po sześć godzin, że muszą opowiadać o intymnych szczegółach. I takich przesłuchań jest czasem kilka. W Kościele sprawę prowadzi biskup z diecezji podejrzanego. Jaki to ma związek z zasadą bezstronności? Wielu pokrzywdzonych opowiadało nam, że byli wręcz namawiani przez duchownych, by sprawy nie ujawniać. By przebaczyć. By nie siać zgorszenia. Stąd zresztą tytuł naszej książki.

Więcej: <http://weekend.gazeta.pl/weekend/1,152121,25103009,byly-ksiadz-ofiara-abp-paetza-sutanne-wrzucilem-do-kosza.html>

- Ostatnio skontaktował się z nami młody człowiek, Polak, który aktualnie przebywa we Włoszech. Ojciec mocno go bił. Tak mocno, że mama wywoziła go na kilka dni do ciotki, by pobity nie pokazywał się w szkole. Był cały fioletowy. Nagle zjawił się „wybawca”, czyli ksiądz. Zaproponował, że zabierze chłopaka do Włoch. Mama mu zaufała, nawet się ucieszyła, że syn będzie bezpieczny. Zgodziła się, oczywiście nie obojętne było zgody sądu, by chłopak mógł uczyć się we włoskiej szkole. I 13-latek znalazł się sam w obcym kraju, gdzie ludzie mówią innym językiem.

A ksiądz zaczął przychodzić nocami do jego łóżka, dotykał go. Trwało to pięć lat. Za każdym razem, gdy chłopiec się skarżył, ksiądz straszył go, że wróci do Polski. Wiadomo, że nie chciał wrócić do ojca, który jest

katem, więc znosił molestowanie. Skarżył się przełożonym księdza we Włoszech, ale słyssał, że ma nie rozpowiadać takich rzeczy, bo mówi przez niego demon.

Więcej: <http://weekend.gazeta.pl/weekend/1,152121,25103009,byly-ksiadz-ofiara-abp-paetza-sutanne-wrzucilem-do-kosza.html>
- Gdy rodzice chcieli zmieniać meble, dołożył 500 złotych do meblościanki. Dziś mówię gorzko, że zostałem sprzedany za 500 złotych – opowiada 32-letni dziś mężczyzna.

- Wspominasz, że przez lata byłeś molestowany i gwałcony przez księdza. Dziś jesteś dorosłym mężczyzną, spodziewacie się z żoną drugiego dziecka. Może wreszcie uda ci się o tym koszmarze zapomnieć?

- Zapomnieć? Nie... tego się nie da zapomnieć. Miałem wymazane z życia 13 lat.

- Opowiedz więc, proszę, jak to się zaczęło.

- Gdy miałem 11 lat, zostałem ministrantem. Jak miałem 14 lat, w naszej parafii pojawił się nowy ksiądz. Wszyscy chłopcy chcieli go poznać, a co najmniej zobaczyć. Szybko zaczęło się podszczypywanie, obmacywanie i łapanie za genitalia. Ksiądz K. Bo rodzice nie poświęcają ci czasu i uwagi, a w dodatku w domu się nie przelewa?

Dzieliłiśmy dom z dziadkami. Mama, tata, siostra i ja mieszkaliśmy na szesnastu metrach kwadratowych. W pewnym momencie ksiądz K. powiedział, że dojrzewam i muszę mieć własny kąpiel. Wszystko obiecał zorganizować i sfinansować.

I słowa dotrzymał.

Przegrodziliśmy kuchnię płytą pilśniową, wstawiliśmy tam biurko i tapczan tylko dla mnie. Dał na to pieniądze.

- Dlaczego to zrobił?

- Chciał się przypodobać mojej rodzinie. To już było po pierwszym razie, kiedy kazał się dotykać po członku. I stawał się coraz śmielszy.

Zresztą nie tylko urządził mi pokój, ale i kupował prezenty. Gdy kończyłem gimnazjum, okazało się, że nie mam żadnego garnituru na egzamin. Ksiądz zadeklarował, że mi kupi, i zabrał mnie swoim autem

do Poznania. Pamiętam, że to był wtorek, miał wtedy wolne. Wybraliśmy marynarkę, spodnie i wyjściowe buty. W drodze powrotnej, w Stróżewie, nagle wjechał do lasu, zatrzymał samochód. Było już ciemno. Rozebrał się i zaczął się masturbować. I kazał mi się dotykać.

Więcej: <http://weekend.gazeta.pl/weekend/1,152121,25103009,byly-ksiazd-ofiara-abp-paetza-sutanne-wrzucilem-do-kosza.html>

- Nie protestowałeś?

- Po trzecim takim razie nie wytrzymałem. Pojechaliśmy z kościelnym chórkim na obóz do Błazejewa. Musiało to dziwnie wyglądać, bo dziewczynki spały na jednej sali, chłopcy na drugiej, a w trzeciej, równie dużej, ja sam. Żeby ksiądz mógł do mnie w nocy przychodzić. Poskarżyłem się opiekunom, a oni poradzili, żebym po powrocie powiedział o wszystkim rodzicom. Tak też zrobiłem.

Umówiono spotkanie na plebanii, w mieszkaniu księdza K. Do wszystkiego się przed rodzicami przyznał. Klęknął, zaczął przeproszać i błagać rodziców o wybaczenie. Zaklinał się, że już nigdy mnie nie dotknie. Tylko żebym poszedł do wychowawców z obozu i powiedział, że sobie to wszystko wymyśliłem.

- I tak zrobiłeś?

- Zrobiłem, zwłaszcza że rodzice mnie zachęcali. Zawarli z księdzem taki układ: oni mu wybaczą, a ja mam wszystko odwołać. I udawali, że nic się nie stało. Ksiądz jak gdyby nigdy nic przyjeżdżał do nas do domu. Gdy rodzice chcieli zmieniać meble, dołożył 500 złotych do meblościanki. Dziś mówię gorzko, że zostałem sprzedany za 500 złotych.

- Potworne.

- Od tego czasu ksiądz wpadał po mnie wieczorem i zabierał na przejażdżkę po sąsiednich miejscowościach. Zawsze domagał się jednego - żebym go masturbował.

- Protestowałeś?

- Prosiłem, żeby dał mi spokój, ale on twierdził, że skoro rodzice się zgadzają, by mnie dalej ze sobą zabierał, to ja nie mam nic do gadania. Straszyl, że jeśli raz

powiedziałem, że wszystko sobie wymyśliłem, to drugi raz już nikt mi nie uwierzy. Zabierał mnie też do swojego mieszkania na plebanii i tam podawał alkohol. Był tak cwany, że mi kazał pić wódkę, a sam pił słabe wino. A potem mnie gwałcił.

- Dlaczego piłeś?

- Żeby było mi to łatwiej znieść. W pewnym momencie stwierdziłem, że taki jest już chyba mój los, że tak musi być. Poza tym ksiądz szantażował mnie psychicznie. „Beze mnie nie dasz sobie rady” – straszyl. Nękał mnie telefonami, pytał, gdzie jestem, co robię, do kogo idę. Zniewolił mnie.

Więcej: <http://weekend.gazeta.pl/weekend/1,152121,25103009,byly-ksiazd-ofiara-abp-paetza-sutanne-wrzucilem-do-kosza.html>

- W książce „Żeby nie było zgorszenia - ofiary mają głos” przeczytałam, że ksiądz zabierał cię też do swojej rodziny. Jego mama, siostra i szwagier naprawdę się niczego nie domyślali?

- Trudno mi w to uwierzyć, bo spałem z księdzem w tym samym pokoju, na jednym tapczanie. Jak stare dobre małżeństwo. Bliscy duchownego nie reagowali. Dochodziło do sytuacji, że on się do mnie dobiera, a tu nagle wchodzi jego siostra. On się trochę speszył, ona też, ale nic nie powiedziała.

- Dlaczego się nie poskarżyłeś?

- Bałem się, że to znów nic nie da. Ksiądz mnie osaczył i mną kierował. Musiałem zrezygnować z własnych marzeń i planów. Chciałem zostać maszynistą, ale ksiądz namawiał mnie, abym poszedł do szkoły, w której sam uczył. Dzięki temu wciąż sprawował nade mną kontrolę, miał dostęp do dziennika, wiedział, czy się przypadkiem komuś nie poskarżyłem, bo miał kontakt z nauczycielami. Byłem kompletnie ubezwłasnowolniony.

- Nie tylko ty. Z książki wiem także, że ksiądz w specyficzny sposób traktował również swojego psa. Mógłbyś o tym powiedzieć?

- Ksiądz chwalił mi się, że pies ujeżdża mu nogę. Albo liże go po genitaliach. No po prostu chciało mi się rzygać na te opowieści.



- Bez cierpienia nie zrozumie się szczęścia.
Fiodor Dostojewski
- Cierpienie jest istotą życia i wobec tego nie przychodzi do nas z zewnątrz, lecz jego niewysychające źródło tkwi w każdym.
Arthur Schopenhauer
- Cierpienie to piękno, bowiem w cierpieniu jest myśl.
Fiodor Dostojewski
- Czymże jest czas? Jeśli nikt mnie o to nie pyta, wiem. Jeśli pytającemu usiłuję wytłumaczyć, nie wiem.
Św. Augustyn
- Daty i zegarki są wynalazkami ludzi.
William Faulkner
- Dużo ludzi nie wie, co robić z czasem. Czas nie ma z ludźmi tego kłopotu.
Magdalena Samozwaniec
- Będąc człowiekiem, nie jestem bliższy nieskończoności, niż gdybym był mrówką, ale też nie jestem dalszy, niż gdybym był ciałem niebieskim.
Giordano Bruno
- Człowiek głupi jest bliskim krewnym zwierzęcia, bo równie jak ono nie ma żadnych wątpliwości.
Aleksander Świętochowski
- Człowiek jest jedynym stworzeniem, które nie zgadza się być tym, czym jest.
Albert Camus
- Człowiek jest jedynym zwierzęciem, które robi interesy. Czy widział kto, by pies wymieniał kości z drugim psem?
Adam Smith
- Człowiek mógłby żyć samotnie przez całe życie. Ale chociaż sam mógłby wykopać swój grób, musi mieć kogoś, kto go pochowa.
James Joyce
- Człowiek nie jest aniołem, ani bydlęciem, nieszczęście w tym, iż kto chce być aniołem, bywa bydlęciem.
Blaise Pascal



Projekt okładki: Stefan Berdak

Kompozycja stron: Artur Kozioł

Grafiki: Piotr Augustynek. Zdjęcia: Antoni Pietryka



STEFAN BERDAK "On i Ona" akryl